

Waldemar  
**Łysiak**



**CENA**

*Exlibris*





## Obsada:

1. **Teodor hrabia  
Tarłowski** Gustaw Holoubek



2. Jubiler  
**Roman Bartnicki** Emil Karewicz



3. Mecenas  
**Alojzy Krzyżanowski** Zdzisław Mrożewski



4. Nauczyciel  
**Zbigniew Mertel** Piotr Fronczewski



5. Dyrektor kina  
**Romuald Kortoń** Zdzisław Zapasiewicz





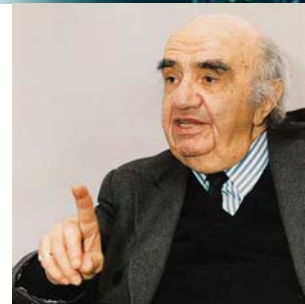
6. Policjant, przodownik  
**Stanisław Godlewski**      Gustaw Lutkiewicz



7. Radca  
**Roman Malewicz**      Henryk Talar



8. Filozof, profesor  
**Mieczysław**  
**Stańczak**      Aleksander Bardini



9. Lekarz  
**Bogusław Hanusz**      Czesław Wołłejko



10. Dziennikarz  
**Krzysztof Kłós**      Bista Henryk



11. Naczelnik poczty  
**Bronisław Sedlak**      Marek Walczewski





12. Ksiądz  
**Julian Hawryłko**

Bronisław Pawlik

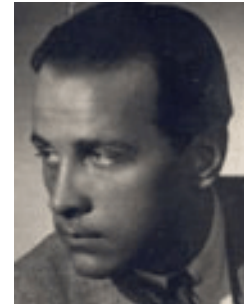


13. Aptekarz  
**Zygmunt Bruś**

Żurawski

14. Oficer Gestapo  
**Friedrich Müller**

Edmund Fetting



15. Kamerdyner  
**Łukasz**

Bogusław Sochnacki



16. Hrabicz  
**Marek Tarłowski**

17. Porucznik  
Wehrmachtu



# AKT I



Wielka podłużna sala obiadowa pałacu tętniła ciszą zatopionych koralowych jaskiń. Pośrodku królował stół o kształcie starorzymskiego hipodromu dla rydwanów. Wokół — niczym łańcuch suto umundurowanych wartowników — spało dwanaście bliźniaczych krzesel. Błat stołu dźwigał trzy złocone mosiężne świeczniki, srebrną salaterę oraz kamienną popielniczkę wypełnioną niedopałkami cygaretek i popiołem symbolizującym samopoczucie palacza. Przy ścianach i na ścianach milczały kredensy, komody, półstoliki, donice, wazy, obrazy i kinkiety; gadał tylko zegar, którego długie wahadło mierzyło rytmicznie czas. Kryształowy żyrandol świecił zimnym blaskiem. Szyby drzwi wyjściowych na taras wpuszczały do wnętrza panoramę ogrodu, a szyby okienne fragment parku. Łącznie — baśniowy widok, nie ma już bowiem w Polsce owych starych pałacowych domów, pełnych sybarytyzmu duchowego i materialnego (prywatnych dzieł sztuki, rodzinnie używanych finezyjnych mebli, bibliotek niepublicznych, oraz sprzyjającej tworzeniu, balowaniu i kopułowaniu atmosfery „*haute cousine*” i „*grand vin*”). Wszystko to przeminęło z wichrem Drugiej Wojny Światowej, anihilowane barbarzyństwem faszystów i komunistów.

Mężczyzna siedzący przy stole i palący cygaretkę za cygaretką nazywał się Tarłowski. Teodor hrabia Tarłowski. Jego bardzo dawni przodkowie byli hetmanami, senatorami i ministrami monarchów. Jego prapradziad był oficerem napoleońskim, pradziad powstańcem i emigrantem, dziad renegatem w służbie cara, zaś ojciec abnegatem w służbie hedonizmu marki „*Fin-de-siecle*” i modernizmu rozkosznej ery światowego międzywojnia. Teodor — póki był młody i jeszcze młody — praktykował cywilizowaną bezczelność dzieci z dobrych rodzin, które idą przez życie bez hamulców (rodziny też, lecz zwłaszcza dzieci), a dla upewnienia się, że wolno im, rzucają od czasu do czasu jakieś mocne słowo należące do języka lumpów, czyniąc to tak naturalnie, jakby poprawiały sobie włosy muśnięciem grzebienia. Ustatkował się po pięćdziesiątce, bo został zrzucony przez wyścigową klacz. Odtąd mógł jeździć tylko na wózku inwalidzkim, dzięki czemu poświęcał więcej czasu żonie, co wszakże nie trwało długo, bo ona zmarła w pierwszym tygodniu wojny. Wszędzie wtedy mnóstwo ludzi umierało od kul i bomb, a ją zabił rak biustu.

Wojna (dokładniej: okupacja niemiecka) zmieniła hrabiemu rodzaj gości. Teraz często bywali u niego (na przyjęciach i na polowaniach) wyżsi oficerowie Wehrmachtu i Abwehry, nigdy zaś oficerowie Gestapo czy SD, ponieważ obie te formacje składały się z niebłękitnokrwistych chamów, gdy w



Abwehrze i wśród generalicji armijnej od hrabiów i baronów aż się roilo. Tymczasem okoliczne lasy roiły się od partyzantów, ci jednak nie brali uczt „*pana hrabiego*” ze „*Szkopami*” za kolaborację, inkasowali bowiem regularnie hrabiowski haracz patriotyczny wspierający „*walkę narodowo—wyzwoleńczą*”.

Wojenny karnawał „*starej dobrej arystokracji*” niemieckiej (starej złej nigdy i nigdzie nie było) skończył się, gdy zrozumiała ona, iż Trzecia Rzesza się wali. Ta refleksja przyniosła próbę buntu. Lecz lipcowy (roku 1944) zamach na „*Führera*” się nie udał i Hitler spuścił ze smyczy Gestapo, które od dawna marzyło, by „*rozwalić*” herbowych członków głównego sztabu armii i prominentów Abwehry. Zaczęła się rzeź, a barokowy pałac hrabiów Tarłowskich przestali wizytować dobrze urodzeni Niemcy w dobrze skrojonych mundurach. To akurat niezbyt martwiło hrabiego. Rozpaczął właśnie z innego powodu. Od dwóch godzin jego wózek inwalidzki tkwił niczym wmurowany przy coraz bardziej kopiatej popielniczce, a jego wzrok błędził tępo między ścianą a ścianą, wzorem zwierząt świeżo wrzuconych do klatki.

Taka rozpacz bywa czarniejsza niż noc. Ma zwiotczałe członki, opuszczone ramiona i załzawione spojrzenie. Drży jak w delirium. Przypomina negatyw fotografii weselnej. Budzi myśli o studniach, lochach, zawałonych pieczarach i polarnych mrozach. Kradnie tlen. Zaprasza głód. Modlitwy uciekają, nie dając się łowić. Skrzeczy fatum. Ale i kołacze się błysk nadziei, bo póki życia — poty nadziei. Hrabia Tarłowski, otulony mrokiem swych myśli i dymem cygaretek — czekał na cud. Doczekał się blisko południa. W otwartych drzwiach sali stanął sędziwy kamerdyner Łukasz i zameldował wystraszonym głosem, prawie szeptem:

— Przyjechał, panie hrabio!...

Z oddali, z głębi pałacu, od strony portyku wejściowego, biegło mocne, rytmiczne i coraz głośniejsze dudnienie obcasów tłukących posadzkę. Urwało się, gdy na progu stanął oficer w mundurze Gestapo, smukły, przystojny i regulaminowo pewny siebie. Wyglądał jak produkt nazistowskiego burdelu laboratoryjnego, którego zadaniem była hodowla rasy pięknych, czystych, błękitnookich blondynów, aby przyszłe szeregi SS, SD czy Gestapo nie składały się głównie z brunetów o rysach semickich lub Hitleropodobnych. Legenda Gestapo przypisywała tej formacji grubiaństwo i prostactwo, jednak on — kapitan Friedrich Müller — miał coś arystokratycznego i w sposobie bycia, i w upodobaniach (nie cierpiał lokali, których klientela przejawiała nadmierną skłonność do dużej ilości alkoholu i do występów gołych kobiet





opieczonych węzami), zaś najbardziej niearystokratyczną cechą jego charakteru była typowa drobnomieszczańska wrogość wobec arystokracji prawdziwej.

Müller — nim przestąpił próg — obrzucił wnętrze sali wnikliwym spojrzeniem i zdjął czapkę, a później zrobił kilka kroków w stronę inwalidzkiego wózka i zawiesił pytający wzrok na twarzy hrabiego, dając milcząco do zrozumienia, że pierwszy nie otworzy ust. Tarłowski przełknął gorzką od cygaretki ślinę i wymamrotał tonem tak grzecznym, że nieomal przymilnym, a łamiącym się lekko:

— Dzień dobry, panie Müller... Jestem... jestem panu wielce zobowiązany, że zechciał pan pofatygować się... że nie odrzucił pan mojego zaproszenia... Gdyby nie moje kalectwo, nie fatygowałbym pana, tylko sam bym się udał do pańskiego biura... Proszę, zechce pan...

Wskazał Müllerowi krzesło, ten jednak ani drgnął. Stał rozluźniony, w pozycji, którą historycy sztuki zważają kontrapostem (przeciwwagą dla ugiętej prawej nogi była mu czapka trzymana zgiętą lewą ręką), milcząco świdrując twarz gospodarza. To trwające parę sekund milczenie zdawało się trwać parę minut i wytwarzało atmosferę napawania się wyższością przez człowieka umundurowanego. Kiedy jednak kapitan odezwał się, w jego głosie nie było złośliwej ostentacji, tylko trochę zwyczajnego chłodu:

— Dzień dobry, panie hrabio... Jeśli chodzi o fatygę, to pofatygowałem się dla zaspokojenia ciekawości... Nie ciekawości wobec sprawy, którą pan ma do mnie, bo to rzecz oczywista, ale ciekawości tego pałacu, bo mi o nim dużo mówiono, nigdy jednak nie zostałem tu zaproszony...

— Cóż... przyznaję, panie Müller, że...

— Ależ ja nie mam o to żalu, panie Tarłowsky, rozumiem jaka jest różnica między plebejuszem z Gestapo a hrabiątkami z Abwehry. Gdyby nie ten głupi przypadek, że jej szef, admirał Canaris, został aresztowany w minionym tygodniu i jego firma przechodzi pod kuratelę Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy — o ratunek prosiłby pan dzisiaj swego kompana, majora von Sternberga.

Położywszy czapkę na blacie stołu, niedaleko popielniczki, Müller odwrócił się do Tarłowskiego plecami i trzymając dłonie skrzyżowane na swej kości ogonowej zaczął wędrować wzdłuż ścian sali, przyglądając się obrazom. Mówił dalej, lecz teraz mówił do tapet z secesyjną arabeską i do płócien, wśród których przeważały portrety przodków gospodarza.

— ... Słyszałem, że pan baron von Sternberg dwukrotnie został królem polowania, gdy terenem łowów były lasy pańskiego majątku. Biedak,



odwołano go stąd w trybie tak gwałtownym, że nie zdołał nawet zabrać swoich myśliwskich trofeów i pożegnać się z panem... Zdradzę panu pewien sekret, panie hrabio. Kiedy zaczęto przesłuchiwać tych arystokratów, dokonano sensacyjnego odkrycia w dziedzinie biologii! Uwierzy pan? — okazało się, że ich krew wcale nie jest błękitna...

Wziął z komody bibelot, kawałek niebieskiego kryształu, i uniósł pod światło, ku szybie. Zrobił minę konesera, ale Tarłowski nie miał głowy do zastanawiania się czy jest to poza, czy prawdziwe znawstwo.

— Panie kapitanie, chciałbym...

— Chciałby pan zapytać, czemu mnie interesują takie drobiazgi? — przerwał mu gestapowiec, odkładając bibelot. — Interesują mnie, bo są piękne i cenne. To aż dwa powody — wystarczy, żeby kochać stare rzemiosło. Boli mnie, gdy tyle kurzu obsiada takie cuda.

Stracił z blatu komody grubą warstwę kurzu i otrzepał dłoń o dłoń.

— Ten brud to żałoba po Sternbergu i jego kolegach, panie Tarłowsky?

— Nie, to choroba służącej, panie Müller. Zatręła się czymś, a mój kamerdyner jest zbyt stary, żeby sprzątać. Przejdźmy może do...

— Tak, przejdźmy do obrazów. Ramy są więcej warte, panie hrabio!

— Cóż, to portrety rodzinne, a nie malarstwo wystawowe. Na piętrze mam jednego Cranacha i dwóch Wenecjan osiemnastowiecznych.

— Z przyjemnością kiedyś obejrzę. Lubię dobrą twórczość. Jako maturzysta chciałem studiować historię sztuki, ale mój ojciec był kolejarzem i nie zarabiał tyle pieniędzy, by starczało na czesne...

Obszedł w końcu cały salon, zbliżył się do stołu, cofnął krzesło i siadł, zakładając nogę na nogę.

— Teraz możemy przejść do rzeczy, która interesuje pana. Słucham, panie hrabio.

Tarłowski wciągnął głęboki haust dymu i wydmuchał przez nos z taką siłą, jakby chciał wydmuchać pecha.

— Panie kapitanie, dzisiaj...

— Przepraszam, panie hrabio, czy mogę zapalić?

— Ależ tak, bardzo proszę!

Müller wyjął z kieszeni złotą papierośnicę i zapalniczkę, a Tarłowski, widząc, że popielniczka jest przepelniona, chwycił mały dzwoneczek schowany w ramie fotela inwalidzkiego i zadzwonił. Nadbiegł Łukasz, wziął popielniczkę i szybko przyniósł czystą. Gość zaciągnął się dwa razy i zrobił wyczekującą minę.



— Czy wolno mi będzie jakimś trunkiem poczęstować pana? — spytał Tarłowski.

— Na przykład?

— No... choćby odrobiną dobrego koniaku... Albo wermutu, bądź wytrawnego wina...

— Może pan. Ale nie koniakiem i nie winem, chociaż lubię oba te trunki. Tutaj jednak wolałbym pić coś innego.

— Tak?...

— Tę pańską sławną rodową nalewkę, o której von Sternberg opowiadał istne cuda. Kochał libacje w pańskim domu. A propos - z czego ją robicie?

— Z wiśni, malin i agrestu, panie kapitanie. Dzwoneczek znowu rozbrzmiał i kamerdyner znowu się zjawił.

— Łukasz, daj dwa kieliszki i nalewkę.

Nalewka smakowała Niemcowi. Po drugim kieliszku zyskał lepszy humor.

— No dobrze, panie hrabio, nie traćmy więcej czasu. Słucham.

— Dzisiaj... dzisiaj aresztowano w mieście mojego syna...

— Zgadza się.

— On jest niewinny. Nie robił niczego przeciwko Niemcom, absolutnie niczego, nie należał do żadnej organizacji...

— Wierzę panu.

— On nawet w trzydziestym dziewiątym nie poszedł do wojska, bo nie miał wówczas osiemnastu lat. Zatem nie walczył z wami ani przez chwilę. Dziś ma dwadzieścia dwa lata i wcale nie interesuje się polityką. Jedyna rzecz, która go interesuje, to ornitologia. Chodzi o ptaki...

— Wiem co to jest ornitologia, panie hrabio!

— Ale czy wie pan, że mój syn jest niewinny?

— To bardzo możliwe.

— Więc czemu...

— Czy można jeszcze?... — spytał Müller, wskazując karafkę z nalewką.

— Ależ tak, proszę bardzo. Cieszę się, że panu smakuje.

Wypili po kolejnym kieliszku.

— Już dawno nic nie smakowało mi tak, jak ta pańska nalewka, panie Tarłowski! — mlasnął gestapowiec. — Sznapsy, które są sprzedawane w rudnickich knajpach, to kwas lub śmierdzące pomyje.

Tarłowski otarł usta krawędzią dłoni i wrócił do tematu:

— Panie Müller, dlaczego pan aresztował mojego syna?



— Bo gdybym aresztował pana, byłoby to w złym guście, pan jest kaleką. Dlatego zamiast pana aresztowałem pańskiego syna.

— Ale czemu?!...

Müller przypalił sobie kolejnego papierosa, a papierośnicę, miał do kieszeni uniformu, położył na blacie stołu, między swoją zapalniczką i popielniczką.

— Panie hrabio, wczoraj było wielkie bum w naszym dystrykcie. Banda leśna wysadziła tor kolejowy. Zginęło czterech Niemców. Jechali na wschodni front. Kilkunastu zostało rannych, pięciu ciężko. Zapewne pan o tym słyszał?

— Tak, lecz ani ja, ani mój syn, nie mamy z tym nic wspólnego...

— To bez znaczenia, panie Tarłowski. Całkowicie bez znaczenia!

— Niewinność jest, pańskim zdaniem, bez znaczenia?!

— Tak, ponieważ znaczenie ma tylko sprawiedliwość.

— Zgoda, mówimy o tym samym!

— Boję się, że mówimy o czymś zupełnie innym, panie hrabio. Ja mówię o sprawiedliwości, którą Rzesza egzekwuje na terenie Generalnego Gubernatorstwa dla poskromienia czynów bandyckich wymierzonych przeciwko urzędnikom niemieckim i armii niemieckiej. Taki przypadek zachodzi tutaj. Władze dystryktu postanowiły, że jeśli winowajcy, to jest sprawcy wczorajszego sabotażu na kolei, nie ujawnią się — wówczas za każdego eksterminowanego Niemca da głowę dziesięciu tubylców. W każdym z czterech miast leżących niedaleko miejsca napadu aresztowano dziesięciu zakładników, łącznie czterdziestu ludzi. Jako szef Gestapo w Rudniku wykonałem tylko rozkaz mojej zwierzchności — aresztowałem dziesiątkę w Rudniku.

— Ale dlaczego właśnie Marka?!

— Bo to figura, hrabicz, pański syn. Mówiłem panu już, że wolałbym aresztować pana, czyli znaczniejszą figurę, lecz więzień na wózku inwalidzkim robiłby mi w areszcie scenografię tragikomiczną, taka szopka raziłaby mój smak. Prócz pańskiego syna aresztowałem dyrektora szpitala, dyrektora banku, dyrektora tartaku, sędziego, leśniczego i paru innych, same chluby Rudnika. Żeby zabolalo!

Tarłowski przymknął powieki, próbując zmusić do zimnej subordynacji myśli kołujące lotem spłoszonych ptaków, lecz wykrztusił tylko rozpaczliwe pytanie:

— I co teraz?



— O tym także mówiłem panu już, panie hrabio. Jeśli winni mordy na Niemcach nie oddadzą się w ręce władzy niemieckiej przed północą, to jutro rano rozstrzelamy zakładników. A jeśli się oddadzą — wypuścimy zakładników, i pański syn wróci do pana. Proste.

Tarłowski mimowolnie podniósł głos, lecz starczyło mu woli, by nie krzyknąć:

— Przecież pan wie, że...

— Tak, obaj wiemy, że w zwyczaju bandytów z AK i NSZ nie leży dobrowolne przyznawanie się do winy, nigdy tego nie robią. Ale zawsze może być ten pierwszy raz...

— Pan dobrze wie, że...

— Dlatego jutro o dziesiątej rano rozstrzelamy więźniów. Lub powiesimy. Dla nich to będzie bez różnicy, panie hrabio. Jeszcze nie zadecydowałem...

— Mój syn jest niewinny!!

— Wszyscy tam są niewinni. Zginęli też niewinni. Za czterech niewinnych ludzi uśmiercimy czterdziestu niewinnych ludzi, ołowiem lub sznurem. Chyba jednak ołowiem... Myślę, że wreszcie zrozumiał pan dlaczego nie aresztowano pana. Człowiek rozstrzeliwany w wózku inwalidzkim to coś ponad moje siły, zwłaszcza ponad mój gust, panie hrabio.

Zapadło milczenie. Gestapowiec wziął karafkę, bez pytania napełnił kieliszki i bez czekania wychylił swój.

— Herrlich!... Umm! Rzeczywiście nektar, cudo!

Tarłowski wbił wzrok w blat stołu, oddychając chrapliwie i nie dostrzegając pełnego kieliszka. Gdy uniósł głowę, zawiesił wzrok na twarzy kapitana i spytał cicho:

— Co mogę zrobić, by uratować syna, panie Müller?

— Bardzo dużo, pod warunkiem, że jest pan wierzący. Wierzy pan w Boga?

— Tak.

— To niech go pan prosi o pomoc. Jako istota wszechmocna nie powinien mieć z tym kłopotów, bez trudu pańskiego syna uratuje. Pod warunkiem, że nie rozeźlił go pan jakimś bluźnierstwem lub upodobaniem do grzesznych czynów, i że nie jest na pana obrażony.

Hrabia zacisnął wargi i znowu przymknął powieki, by oczy nie zdradziły wstrętu wobec „dowcipu” gestapowca. Kapitan z rozkoszą sącył nalewkę, a milczenie, formalnie żenujące, wcale mu nie przeszkadzało. Odstawił kieliszek, gdy usta gospodarza eksplodowały:

— Chcę wykupić mojego syna!



— Wykupić?... — udał zdziwienie Müller.

Hrabia skinął głową jak automat, być może przerażony obcesowością własnej frazy, a może tylko zdumiony radykalizmem swego wystąpienia. Müller parsknął:

— Wykupić! Tak po prostu?

— Tak po prostu!

— Jak klejnot zastawiony w lombardzie?

— Nie — jak dziecko zamknięte w areszcie!

— Chce pan przyjść do kasy aresztu i wykupić syna?

— Chcę go wykupić płacąc panu!

Müller odchylił się na oparcie krzesła i roześmiał szeroko:

— Pan mi proponuje łapówkę, panie Tarłowsky!... Korumpowanie urzędnika Rzeszy jest obrazą dla tegoż urzędnika i dla samej Rzeszy, nie mówiąc już o tym, że jest przestępstwem ściganym na mocy kodeksu. Czy pan sobie zdaje z tego sprawę, panie hrabio?

— Tak, lecz co mam do stracenia? Jestem kaleką i jestem już zbyt blisko grobu, aby się bać czegokolwiek!

Müller skrzywił wargi tak kpiarsko, że papieros o mało nie wyleciał mu z ust.

— Co pan powie, panie hrabio!... A ja myślałem, że pan zaprosił mnie ze strachu...

— Owszem, ze strachu. Tylko że ze strachu o syna, a to zupełnie inny strach niż strach o własną skórę!

— Ten strach, czy inny strach, zawsze jednak strach... Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie pańskie śmiertelne przerażenie, panie hrabio.

— Tak, zgadza się — umieram ze strachu. Ze strachu, że możecie Marka zabić, a przedtem torturować!

— Co takiego?!

— Dobrze pan słyszał, panie Müller! Niech mi pan powie szczerze — czy już katowaliście mojego syna?

— Panie hrabio!... — skarcił Tarłowskiego Müller, kręcąc przecząco głową i robiąc minę pełną dezaprobaty. — Dajże pan spokój!

— To pan niech da spokój mojemu dziecku, Müller!

— Ależ ja się nad nim fizycznie nie znęcam, nie tknąłem go palcem, Herr Tarłowsky! Pan mi pewnie nie uwierzy, lecz ja nigdy nie biję więźniów.

— Bo ma pan ludzi do tego!



— To prawda, mam takich ludzi, co używają pejczy, metalowych prętów i gumowych pałek. Ja jestem gorszy od nich — używam słów. Tylko słów. Nie mówię o rozkazach, które wydaję moim ludziom — chodzi o słowa kierowane przeze mnie do wrogów. Są takie słowa, panie hrabio, przy których ból fizyczny niewiele znaczy — słowa—wytrychy rozwiązujące problemy katów, a ofiarom czyniące krzywdę największą. Trzeba tylko znać właściwy słownik i umieć z niego korzystać właściwie, to jest adekwatnie do sytuacji i warunków.

Tym razem Tarłowski nie zdołał już pohamować wzdargy:

— Mówi pan o straszaniu bądź szantażowaniu ludzi bezbronych, ludzi całkowicie zdanych na pana łaskę, panie Müller!

— Niekoniecznie, drogi hrabio. Mówię również o dawaniu wyboru ludziom przynajmniej częściowo zdanym na samych siebie. O udowodnianiu tym ludziom, że wstręt, jaki czują wobec kata, jest niesprawiedliwy, bo sami mało się od katów różnią, są zdolni do identycznych bestialstw, do popełniania haniebnych czynów...

— Retoryczne równanie katów i ofiar to sofizmatyka czy dialektyka zbyt nędzna, bym chciał ją roztrząsać, kapitanie!

— Więc niech pan tylko słucha. Ręczę, że warto, wyklada ekspert. Ja te problemy rozwiązuję nie teoretycznie, ale praktycznie, panie hrabio, i to od dawna, od kilku lat nieomal codziennie. I gdybym musiał powiedzieć, czego przede wszystkim nauczyła mnie ta praktyka — jakiej zasady, jakiej reguły, jakiego kanonu — stwierdziłbym, że tego, iż ofiary i oprawcy są takimi samymi skurwysynami, różnice są żadne!

— Łatwo mówić, gdy się jest...

— Oprawcą?... Niech panu będzie, Tarłowsky. Ale, proszę mi wierzyć, nie kłamałem — oprawiam wyłącznie przy pomocy słów. Metody się różnią, zależnie od osobników i od warunków; wbrew pozorom szantaż czy straszenie nie są moimi faworytami. Wolę, na przykład, okrucieństwo dawania wyboru.

— Jakiego wyboru?

— Bezlitosnego, proszę pana. Okrutnego, perfidnego, morderczego, i tak dalej — nie brakuje tu diabelskich przymiotników.

— Brakuje tylko człowieczeństwa, panie kapitanie.

— Człowieczeństwa jako baśniowego ideału. My dwaj mówimy o człowieczeństwie rzeczywistym, któremu jest do ideału bardzo daleko. Człowiek stale dostaje wybór od losu i stale źle korzysta z tej szansy. Gdy ofiara dostaje wybór od kata — dostaje wybór bez idealnej szansy i produkuje rezultat identyczny. Lub jeszcze gorszy. Rozumie pan teraz, czemu



powiedziałem, że ten wybór jest bezlitosny dla ofiar. Dla oprawców jest intrygujący psychologicznie. Ktoś, kto nie zna aparatu represji, nie ma pojęcia, że stawianie ludzi przed wyborem jest pasjonującą zabawą.

— Z pewnością! — burknął hrabia tonem goryczy maskującej ton wstrętu.  
— Mnie nie bawi nawet słuchanie tego, Müller.

— Bo jest pan wśród przegranych, a nie wśród zwycięzców. Gdyby był pan londyńskim kupcem w Indiach osiemnastowiecznych... Czy słyszał pan jak urzędnicy Kompanii Wschodnio—Indyjskiej zmuszali wtedy hinduskich chłopów do płacenia nadmiernych podatków? Wiązali razem ojca i syna, i chłostali tylko od jednej strony, tak iż uderzenia padały albo na ojca, albo na syna — każdy z nich mógł to wziąć tylko na siebie, podstawiając własne plecy, lub, jeżeli był silniejszy, mógł zasłonić się od batów cudzym ciałem. Przy pomocy słów można robić coś równie perfidnego. Gdyby, na przykład, miał pan także córkę, i gdybym dał panu wybór: zwrócę panu syna jeśli w zamian odda mi pan córkę do rozwalki?

— Proponuję pieniądze i siebie!

— Pana odrzucam, mówiliśmy już o tym dwa razy; niech pan wreszcie zrozumie, że dla mnie to kwestia dobrego smaku... Natomiast pieniędzy nie odrzucam — dwadzieścia tysięcy dolarów za życie adepta ornitologii, panie hrabio! Tylko że...

— Zgoda, panie Müller! — przerwał mu uradowany Tartowski. — Ale ja nie mam dolarów. Proponuję marki lub biżuterię...

Müller pokręcił sceptycznie głową i rozgniół niedopałek papierosa o dno popielniczki.

— Wyznam panu, hrabio, że spadek notowań na giełdach w Stalingradzie i w Kursku odebrał mi wiarę co do przyszłości marki. A złoto jest zbyt ciężkie.

— Więc...

— Tu nie ma problemu. Jubiler, Herr Bartnycky, wymieni panu twarde na miękkie w dowolnych ilościach. Problem leży gdzie indziej. Pańska propozycja to dla mnie zbyt duże ryzyko, panie hrabio...

— Przysięgam, że nikt prócz nas... Gwarantuję panu pełną dyskrecję, panie Müller!

— Nie o to chodzi. Problem w tym, że Gestapo właśnie rozprawia się z Abwehrą. Mój lubelski zwierzchnik, Kraus, szczególnie nienawidzi barona von Sternberga; rywalizowali tu ze sobą tak długo, jak długo Abwehrą i Gestapo darty ze sobą koty. Kraus wie, że von Sternberg bywał u pana częstym gościem, i dlatego sądzi, że mogło to być coś więcej niż tylko komitywa





dwóch arystokratów. Gdybym wypuścił jedynie pańskiego syna, mógłbym stać się podejrzanym, iż mam jakiś kontakt z Abwehrą, słowem — że robię to dla niedobitków admirała Canarisa. Nie zaryzykuję własnego łba, panie hrabio!

— Przecież... wcześniej już pan przyjął moją propozycję. Wymienił pan sumę!

— Ale wtedy pan mi nie dał dokończyć. Wymieniłem tylko sumę jednostkową.

— Nie rozumiem... Jak to jednostkową?

— Zechce pan posłuchać, panie Tarlowsky. Moja propozycja jest trochę inna, bardziej hurtowa, no i bardziej zyskowna dla mnie, ale przede wszystkim jest ona bardziej bezpieczna dla kapitana Friedricha Müllera, a tak się składa, że niczyje bezpieczeństwo nie może mi być równie drogie jak bezpieczeństwo Friedricha Müllera. Proponuję układ następujący: wypuszczę czterech aresztowanych i wezmę dwadzieścia tysięcy dolarów za każdego, co razem stanowi osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Połowę oddam Krausowi. Tak duże pieniądze bardzo go ucieszą, i przy tym będzie mnie podejrzewał tylko o chęć zarobku, a nie o spiskowanie na rzecz Abwehry czy o inną gównianą politykę.

— Pan wybaczy, panie kapitanie, ale... ale...

— Ale co?

— Ja... ja nie mogę tego...

Müller zacisnął wargi i rąbnął pięścią w stół tak mocno, że z popielniczki wysypała się na blat część popiołu, a kieliszki brzęknęły jak przestraszone.

— Czterech lub nikt!

— Nie wiem... — westchnął hrabia.

— Czego pan nie wie?!

— Nie wiem, czy wystarczy mi biżuterii, panie Müller...

— Jestem jakoś dziwnie spokojny, że tak — rozluźnił się znowu kapitan.

— Pytanie, czy wystarczy panu chęci, by płacić za ludzi całkowicie panu obcych, i to ludzi bez herbów. Widzę tu wszelako szansę ulżenia panu. Przecież każdy aresztowany ma jakąś rodzinę, która chętnie sprzeda ostatnie buty, żeby uratować swojego. Niech pan się z nimi skontaktuje... To zresztą nie moja sprawa co pan robi. Moją sprawą jest rozstrzelać jutro dziesięciu. Lub powiesić dziesięciu. Jednak chyba rozstrzelać... Zapewniam pana, panie Tarlowsky, że dziesięciu zostanie jutro rozstrzelanych.

— Ale bez mojego syna! Jestem gotów dać za niego...

— Żadnych targów, panie hrabio! Czterech lub nikt.

— Dobrze... — szepnął Tarłowski. — Czterech...



— Po dwadzieścia tysięcy prezydentów.

— Tak.

— Co ja gadam, mein Gott! Cztery razy po dwadzieścia tysięcy prezydentów to... to byłoby osiemdziesiąt tysięcy jednodolarówek! Fura! Wystarczy osiemset fizjonomii prezydenta Franklina. Lub tysiąc sześćset wizerunków prezydenta Granta. Ale nie drobniejszymi.

— Dobrze.

— To jednak, niestety, nie wszystko.

— Więcej nie będę mógł!

— Więcej pieniędzy nie żądam. Choć gdybym żądał — mógłby pan, jestem tego pewien, panie hrabio. Chodzi o coś innego — o aresztowanych.

— Już ustaliliśmy, że płacę za czterech!

— To się nie zmienia. Czterech. Oczywiście rozumie pan, hrabio, że ponieważ mam ukarać dziesięciu, a nie sześciu — będę musiał aresztować czterech innych na miejsce czwórki wykupionej przez pana. Problem selekcji zostawiam panu. Wrócę tu o...

Wbił źrenice w cyferblat stojącego pod ścianą zegara, którego wahadło odmierzało sekundy, potem przyjrzał się własnemu zegarkowi, i sprecyzował:

— ... o siódmej rano. Pański zegar ładnie bije, ale późni się całe cztery minuty. Ma pan zatem osiemnaście godzin. Jutro o siódmej rano wręczy mi pan walizkę lub torbę z portretami ustalonych prezydentów i dwie listy z nazwiskami jeszcze nie ustalonych wybrańców.

— Dlaczego dwie listy?

— Mówiłem, że problem selekcji ceduję na pana.

— Selekcji ludzi, których pan uwolni, kapitanie!

— Dubeltowej selekcji, panie hrabio. Także selekcji zmienników. Da mi pan listę czterech ludzi, których mam wypuścić, i listę czterech, których mam aresztować. To chyba jasne?

— Cooo?!... — jęknął Tarłowski.

Dotarło doń, w jak głęboką czeluść zanurzyła go chęć uratowania dziecka będącego także dzieckiem kobiety, którą kochał, którą skrzywdził i którą wspominał czule, pragnąc przebłagać ją tym aktem ratunku. Myśli mąciły mu się niczym pijane nietoperze. Jakieś wewnętrzne echo cytowało dudniące słowa gestapowca: „... wyboru okrutnego, perfidnego, bezlitosnego...”. Schował twarz w dłoniach. Tymczasem Müller wstał, obciągnął kurtkę uniformu, nalał sobie „*strzemiennego*”, wypił, wziął czapkę i podsumował:

— A więc wszystko jasne, panie hrabio. Czterech za czterech.



— Nie!  
— Nie?... No cóż...  
— Nie mogę tego zrobić!!  
— Wolna wola, panie hrabio.  
— Czy pan zdaje sobie sprawę, Müller, czego...  
— Kapitanie Müller!  
— Przepraszam, kapitanie Müller... Czy... czy pan rozumie, czego pan ode mnie żąda?! Mam wskazać panu ludzi, których pan...

— Dokładnie tak. Ludzi, którzy przeżyją, i ludzi, którzy umrą, aby tamci mogli przeżyć. Jest mi wszystko jedno kogo pan wytypuje. Może pan wskazać swego fagasa, kucharza, stajennego, albo pańskich wieśniaków, ganz egal, byle było czterech za czterech. Jak pan widzi — to tylko kwestia buchalterii, a nie sumienia...

Zwarte obcasy wydały delikatny regulaminowy stuk, a lekko pochyłona głowa gestapowca zasugerowała, że nie utracił całkowicie szacunku dla hrabiego.

— Do jutra, panie Tarlowsky.

Był już w połowie drogi między stołem a drzwiami, gdy ciszę rozdarł krzyk gospodarza:

— Na miłość Boską, panie Müller!!

Müller stanął, odwrócił się i wycedził:

— Ten temat chyba także już przedyskutowaliśmy, panie hrabio... Mówiłem panu — może pan zdać się wyłącznie na opatrność boską, ale ja bym nie polecał... Proszę mi darować, obowiązki czekają, spędziłem u pana za dużo czasu.

I wyszedł. Hrabia oddychał ciężko, jak po biegu, musiało więc minąć parę chwil nim uspokoił oddech. Napełnił kieliszek dwa razy i dwukrotnie opróżnił jednym haustem, a później chwycił dzwonek i potrząsnął, wzywając kamery—nera. Przy dreptał Łukasz.

— Słucham, panie hrabio...

— Leć do jubilera Bartnickiego! Albo nie! Poślij woźnicę Kurczuka — niech zaprzęga brykę, niech jedzie i niech przywiezie Bartnickiego! Niech mu powie, że sprawa jest nader pilna! Nader pilna, rozumiesz?!

— Co mam nie rozumieć, panie hrabio? A tu Sedlak czeka w przedpokoju. Ino się schował, jak zobaczył szwabski mundur. Ale już wylazł spode schodów.

— Sedlak?... Co za Sedlak?



- Poczmiistrz przecież nasz rudnicki, panie hrabio.
- Ach tak. Czego chce?
- Listy jakieś przywiózł i pakunki.
- To już nie ma tam u niego listonoszów?
- Mówi, że ma też jakiś prywatny interes, panie hrabio.
- Lecz ja nie mam teraz czasu na żadne interesy ! Niech przyjdzie innym razem!
- Ale on mówi, że jemu chodzi o tych aresztowanych przez Niemca...
- Niech wejdzie. A ty ślij Kurczuka do Bartnickiego! Piorunem, Łukasz!



# **Akt II**



Jubiler Roman Bartnicki nie zawsze był jubilerem. Jako młody człowiek był fryzjerem, ponieważ jego ojciec był fryzjerem. Fryzjerska kariera Romana doznała krachu, gdy wydało się, że zaufanym klientkom — głównie prostytutkom, lecz i niektórym „*przyzwoitym kobietom*” — farbował włosy łonowe tudzież fryzury na ten sam kolor. Prominentny mąż jednej z ufarbowanych dam wsadził Bartnickiego-juniora do „*pudła*” za „*gwałt lubieżny*” (cytat z orzeczenia sądowego). W więzieniu Roman poznał jubilera-pasera. Zwolniono ich prawie równocześnie, starszy kompan przygarnął młodszego, wyszkolił, a umierając zapisał mu notarialnie cały swój dobrze prosperujący jubilerski interes. I tak Roman Bartnicki został znawcą precjozów.

Do wybuchu wojny Bartnickiemu wiodło się nieźle, a po wybuchu, czyli za okupacji, wiodło mu się znakomicie, bo większość rodaków musiała wyzbywać się chomikowanego złota dla kawałka chleba. Nawet fakt, iż od 1941 roku rynek zalewała Niagara złota żydowskiego, nie wywołał bessy w tym interesie. Co było widać po ubraniu pana Romana wkraczającego do siedziby Tarłowskich. Jego korpulentne ciało opinał prążkowany garnitur z angielskiej gabardyny klasy lux, krawat mocowała na koszuli spinka platynowo-brylantowa, a klamerki wężowych butów były szczerozłote, podobnie jak dwa sygnety i łańcuszek oraz koperta zegarka marki Patek, najdroższego spośród drogich.

Przed przybyciem jubilera blat stołu został uprzątnięty i zyskał nową scenografię. Teraz, prócz popielniczki i kandelabrow, widniało tam duże cyprysowe puzderko mające brązowe okucia. Bartnicki, kiedy tylko przestąpił próg salonu, pierwsze szybkie spojrzenie rzucił na ową skrzynkę; dopiero drugie na twarz hrabiego. Była to twarz żałobna, lecz jubiler udał, że tego nie widzi, i roześmiał się swobodnie:

— Witam, panie hrabio, unizony sługa! Czemu zawdzięczam honor?...

— Witam, panie Bartnicki. Zechce pan spocząć.

Bartnicki usiadł, wodząc żabim wzrokiem po ścianach salonu.

— Panie Bartnicki... muszę sprzedać trochę... a nawet sporo... rodzinnych kosztowności...

— Rozumiem, panie hrabio... Cóż, czasy są ciężkie...

— Czasy są koszmarnie, panie Bartnicki. To prawdziwa Apokalipsa!... Był tu dziś u mnie Müller, który aresztował mojego syna, o czym pan zapewne wie...

— Wiem, panie hrabio. Całym sercem współczuję panu!



— Müller aresztował dziesięciu ludzi. Dziesięciu u nas, w Rudniku, bo ogólnie Niemcy aresztowali kilkudziesięciu ludzi...

— Tak, czterdziestu, panie hrabio. Dokładnie czterdziestu. Po dziesięciu za każdego uśmierconego w nocy Niemca.

— Właśnie. Nie znam wszystkich aresztowanych z Rudnika. Jeśli dobrze pamiętam, Müller wymienił dyrektora banku, dyrektora tartaku, leśniczego...

— Aresztował też burmistrza Wencla, ordynatora Stasinę, dyrektora szkoły, pana Myślińskiego, weterynarza Tardonia, szefa muzeum, doktora Kuźmicza, i sędziego Iwickiego.

— Mojego syna aresztował zamiast mnie. Mówi, że nie chciał aresztować kaleki na inwalidzkim wózku.

Bartnicki pokręcił wąpiąco głową.

— Raczej nie chciał aresztować źródła spodziewanego zysku. Leśniczego Ostrowskiego wywlekli z betów mimo ciężkiej choroby.

— Wie pan, że jutro będą rozstrzeliwać zakładników?

— Każdy wie, panie hrabio. Rozlepili po całym Rudniku afisze, grożąc rozstrzelaniem aresztowanych jak leśni się nie zgłoszą. A wiadomo, że się nie zgłoszą.

— Tak, wiadomo, panie Bartnicki. Mnie chodzi o syna... Uzgodniłem z Müllerem, że wykupię, czterech aresztowanych...

— Których, panie hrabio?

— Müllerowi jest wszystko jedno. Żąda tylko, aby było czterech, bo chce więcej zarobić. Po dwadzieścia tysięcy dolarów od więźnia.

— Ile?!!

— Dwadzieścia tysięcy dolarów, setkami lub pięćdziesiątkami, mniejszych nominałów nie weźmie.

— To przecież osiemdziesiąt tysięcy dolarów, panie hrabio!

— Niestety... Posiadani trochę marek, ale wolę trzymać je na bieżące wydatki, więc muszę sprzedać złoto za osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Ma pan tyle, panie Bartnicki?

— Nie mam, lecz w ciągu paru godzin mogę zorganizować taką sumę.

— Proszę więc wybrać sobie wśród tych rzeczy jej równowartość — rzekł hrabia, wskazując ruchem głowy puzderko z cyprysu.

Bartnicki wytarł spocone dłonie o nogawki spodni, przysunął puzdro do siebie, uchylił wieczko i zaczął wyjmować precjoza. Kładł na blat pierścienie, kolie, brosze, łańcuchy, diademy, bransolety, sznury pereł i koralu, szlachetne kamienie oprawione w drogocenny metal lub w kość słoniową, a także monety



z profilami monarchów. Do oka wsadził jubilerską lupę i czasami badał nią uważniej jakąś błyskotkę. Jego pękate paluchy namacały wreszcie dziwny kształt. Wyjął połączany walec — małą złotą tubkę, bardzo lekką i pachnącą raczej perfumierią niż biżuterią.

— Co to jest, panie hrabio?

— Ach, to szminka...

Bartnicki otworzył tubkę, wyciągając jej zawartość czyli wewnętrzną tubkę z czerwonym wkładem szminki.

— ... to szminka nieboszczki, mojej żony. Nie wiem, doprawdy, skąd się tutaj znalazła...

— Kobiety są roztargnione, gdy się stroją — mruknął jubiler, podając szminkę gospodarzowi.

Tarłowski złożył obie części i ruszył wózkiem ku ścianie. Zatrzymał się przy lustrze wyrastającym z wąskiego blatu. Na blacie stała fotografia nieboszczki. Spojrzał jej w oczy i ścisnął dłonią szminkę, myśląc: „Robię to wszystko dla ciebie... znaczy dla niego, ale dla ciebie przede wszystkim!”. Położył szminkę obok ramki z fotografią i cofnął wózek do stołu. Bartnicki właśnie kończył lustrować precjoza i wycenił je:

— Starczyłoby na kilkunastu zakładników, panie hrabio. A gdyby liczyć po cenach zwyczajowych, jakie się praktykuje w Generalnej Guberni od paru lat — to i na kilkudziesięciu, może stu...

— Müller odda tylko czterech, panie Bartnicki. Aż czterech.

— Tak, rozumiem, panie hrabio... Nie rozumiem wszakże jednego aspektu. Dlaczego pan płaci za czterech? To znaczy za tamtych trzech, no bo że za pańskiego syna to oczywiste, panie hrabio.

Tarłowski wzruszył ramionami, jakby chciał unaocznić, że sam siebie nie rozumie, i prychnął:

— A kto mógłby ich wykupić? Rodziny?

Bartnicki skrzywił usta sceptycznie:

— Mowy nie ma! Müller wyznaczył cenę potworną, takich cen nie było jeszcze w Generalnej Gubernii. Ci, którzy chcą wykupić swoich, nie daliby rady choćby wyprzedali się kompletnie. Zebraliby góra po kilka tysięcy dolarów.

— Więc pan ich zna?

— Cztery osoby były już z tym dzisiaj u mnie. Pani weterynarzowa, żona sędziego Iwickiego, siostra leśniczego Ostrowskiego, i pan Duński, brat dyrektora banku... No, może on jeden by wydolił.





- A czemu zgłaszali się do pana?
- A czemu pan się do mnie zgłosił, panie hrabio?
- No tak... przepraszam.
- Nie ma za co. To naturalne — u kogo innego w Rudniku można spieniężyć biżuterię, krugeranda czy złotego rubelka bez strachu, że się zostanie oszukanym albo zadenuncjowanym? Plus moje kontakty. Każde dziecko w Rudniku i wokół Rudnika wie, że Niemcy sprzedają u mnie złoto po Żydach i po innych trupach, że kupują u mnie waluty, ci z Gestapo również. No... słowem, że znam tych gestapowców, którzy lubią dobre interesy, i że potrafię z nimi gadać.
- I co, próbował pan teraz z nimi gadać?
- Tak, rozmawiałem o wykupieniu Duńskiego.
- Z kim, z Müllerem?
- Nie, z jego zastępcą, Lotzem. To najbardziej pazerny Szwab w tej części dystryktu. Ale odmówił twierdząc, że sprawa jest beznadziejna. Teraz widzę, że nie jest beznadziejna, tyle że koszt jest parokrotnie większy od zwyczajowego, i że Müller chce sam zgarnąć cały łup.
- On się zadowala połową łupu.
- A tak, rzeczywiście, połowę musi oddać Krausowi, Führerowi lubelskiego Gestapo. Wszyscy oni w dystrykcie muszą, bez tego haraczu wylecieliby z gry piorunem.
- Skąd pan wie o tym?
- Panie hrabio, jak się przez cztery lata robi lewe interesy z okupantem, to się dużo wie. Czasami myślę, że zbyt dużo wiem, i zastanawiam się, czy nie nawiać do jakiejś mysiej dziury, daleko stąd.
- Boi się pan, że oni mogą pana?...
- Oni, lub nasi za to, że handlowałem z kupą Szwabów. Fakt, że naszym płaciłem „składkę” i kupowałem broń, może mi nie pomóc, bo cholera wie komu płaciłem. Przychodziło dwóch i brali pieniądze dla leśnych. Ale diabeł wie, czy oni rzeczywiście byli od leśnych! A jeśli od leśnych, to pytanie gorsze — od których leśnych?
- Nie wszystko jedno?
- Nie, bo w tutejszych lasach siedzi i AK, i NSZ, i jeszcze grasują czerwoni z AL. Ci ostatni to zwykli bandyci, tylko rabują i gwałcą, lecz nazywają się partyzantką ludową i „na reakwizycje” nie idą bez mundurów. Mają już wyrok — NSZ ich ściga i chce wystrzelać. Akowcy też by ich chętnie rozwalili. No i wzajemnie — czerwoni zadenuncjowali już na Gestapo dwóch



akowców kwaterujących we wsi, a dwóch innych zastrzelili w lesie. Żandarmeria spaliła całą tę wieś, dlatego i NSZ, i AK nie odpuści czerwonemu.

— Kto wysadził tory?

— Nie wiem. Może AK, może NSZ, a może to była robota wspólna... Według mnie ta robota to czysta głupota, panie hrabio. Co to za interes, gdy się zabije czterech wrogów, żeby musiało zginąć czterdziestu Bogu ducha winnych swojaków? To ma być patriotyzm?... Ale nie mówmy o polityce, wyroków losu nie zmienimy. Może tylko trochę skorygujemy, jeśli ten pański geszeft z Müllerem się uda.

— Pomoże mi pan, panie Bartnicki?

— To się rozumie, panie hrabio, kupię te cacka z przyjemnością.

— Chodzi mi nie tylko o pieniądze...

— Nie tylko?

— Nie... Widzi pan, muszę wybrać trzech ludzi...

— A to już musi pan wybrać sam, panie hrabio. Ja jestem kupcem, interesuje mnie towar. Płacę, biorę towar, nisko się kłaniam i znikam. Rozumiem, że wybrać trzech z dziewięciu nie jest łatwo, bo chciałoby się uratować wszystkich. Straszny dylemat, nie zazdroszczę panu. Ale to pański dylemat, na mnie proszę tu nie liczyć, ja nie jestem od tego.

Tarłowski obracał w palcach żarzącą się cygaretkę, szukając słów, którymi mógłby ująć problem najczarniejszy.

— Jest jeszcze jedna sprawa...

Tembr głosu gospodarza zaalarmował jubilera. Szóstym zmysłem wyłapał coś bardzo groźnego nim usłyszał o co chodzi. Źrenice zrobiły mu się czujne.

— Słucham, panie hrabio...

— Widzi pan, panie Bartnicki... Müller żąda, by wskazać mu tych, których on uwolni za pieniądze, ale również zmienników...

— Jakich zmienników?

— On... on musi zgładzić dziesięciu, panie Bartnicki.

Mózg Bartnickiego przeszyło zrozumienie:

— Więc na miejsce wypuszczonych aresztuje czterech innych, żeby uzupełnić dychę! I żąda...

— Żąda, abym ja mu wskazał czterech nowych ludzi do rozstrzelania. Zresztą nie wiem, może do powieszenia...

— Do rozstrzelania, panie hrabio; plakaty mówią o rozstrzeliwaniu.



— Wszystko jedno, pani Bartnicki. On chce, bym ja wybrał nowych skazańców! Tym warunkuje całą transakcję.

Bartnicki wstał i machinalnie zapiął garnitur. Ręce drżały mu lekko.

— I pan się na to zgodził?!

— Tak.

— Jezu Chryste!

— Nie miałem wyboru. Chcę uratować syna, i zrobię to za każdą cenę, panie Bartnicki!

Bartnicki był człowiekiem otrzaskanym życiowo. Widział setki grubych szwindli, widział bezlitosną hochsztaplerkę, widział deptanie godności człowieka w najróżniejszy sposób, i zdarzało mu się być współuczestnikiem takich nikczemności — lecz gra Müllera przerażyła go. Nie pamiętał kiedy ostatni raz drżały mu wargi od podobnego strachu.

— Pa... panie hrabio... Jeśli pan się zgodził, to... to pańska sprawa. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego, nic! Nie będę wybierał ludzi na śmierć!... I panu też nie radzę!

— Więc mam poświęcić syna?! Jego matka przewróciłaby się w grobie, a ja... ja bym...

— Jeśli pan zrobi to, czego żąda Müller, to też poświęci pan syna. Syna i samego siebie, panie hrabio, bo kiedy chłopcy z AK albo z NSZ się dowiedzą, że pan dał na rozwałkę ludzi, to kropną pana bez namysłu!

— Niech pan usiądzie i przestanie krzyczeć, panie Bartnicki!

Bartnicki siadł tak gwałtownie, że strzelił mu guzik marynarki i wisiał odtąd na jednej nitce, jakby został skazany i powieszony przez właściciela.

— Ostrzegłem pana, panie hrabio... Nie mówię, że leśni z pewnością dowiedzą się o całej sprawie, bo może się dowiedzą, a może nie dowiedzą. Jednak takiej ewentualności nie wolno wykluczać!

— Toteż ja jej nie wykluczam, mój panie. Jeżeli dowiedzą się o wszystkim — będą musieli wpierw rozważyć, czy ci, których wydano, są warci tych, których wykupiono. A gdy będą chcieli karać odpowiedzialnego za wymianę, to będą musieli ukarać kilka osób.

— Czyli kogo?

— Przemyślałem to sobie, panie Bartnicki... Pragnę, aby decyzję podjęło grono najszacowniejszych obywateli miasta. Kilku takich Gestapo aresztowało, ale kilku się jeszcze znajdzie, mam rację?

— Nawet kilkunastu, panie hrabio. Tylko jak pan chce to zrobić?



— Chcę ich zaprosić na dzisiejszy wieczór do siebie. Mecenasa Krzyżanowskiego, profesora Stańczaka, radcę Malewicza, naczelnika poczty, pana Sedlaka. To on mi podsunął tę myśl...

— Jaką myśl?

— Żeby zrobić takie zebranie.

— Naczelnik Sedlak?

— Owszem, naczelnik Sedlak. Był tu u mnie przed chwilą, prosił o pomoc w ratowaniu jednego aresztowanego. Jak pan widzi — przychodzono nie tylko do pana...

— Kogo chce ratować Sedlak?

— Pana Kuźmicza, dyrektora muzeum. Ale wróćmy do moich gości na dzisiejszy wieczór, bo wciąż nie wiem... Kilku już mam, lecz to mało. Kogo jeszcze winienem zaprosić, panie Bartnicki? Co pan sądzi o księdzu proboszczu?...

Jubiler zmarszczył czoło i przez chwilę milczał. Później szepnął, jakby do siebie:

— Teraz rozumiem pańską szczodrość, panie Tarłowski... Ale nie jestem pewien, czy to, że chce pan sam płacić za czterech więźniów, skłoni pańskich gości do spełnienia żądań Gestapo...

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie!

— Przepraszam, jakie pytanie?

— Kogo jeszcze winienem zaprosić?

— Księdza Hawryłkę bez wątpienia.

— I jeszcze kogo?

Bartnicki schylił głowę i grzebał przez chwilę w mózgu.

— Doktora Hanusza...

— Kto to jest?

— Zastępca dyrektora szpitala, profesora Stasinki, którego aresztowano.

— Kogo jeszcze?

— Kierownika kina, Kortonia...

— To ten przedwojenny dyrektor teatru, endek?

— Tak... No i aptekarza Brusia... Aha, koniecznie pana Mertla, zastępcę dyrektora szkoły ogrodniczej, bo dyrektora też aresztowano... I chyba redaktora Kłosa, szefa przedwojennego „Gońca”...

— To on jeszcze żyje?



— Żyje, panie hrabio, nawet nieźle żyje, chociaż dzisiaj wielu żyje jakby nie żyli, takie czasy... Na pana miejscu zaprosiłbym też przodownika Godlewskiego z policji granatowej.

— Czemu?

— Pewności nie mam, ale on chyba kręci z leśnymi, panie hrabio. W każdym razie to porządny człowiek, kilku ludzi już uratował.

— Dobrze, wystarczy, akurat tyle stoi tu krzeseł. Zaproszę ich na szóstą. Pytanie, czy wszyscy przyjdą...

— Bez obaw, panie hrabio!

— Dlaczego jest pan taki pewny?

— Znam ludzi, proszę pana... Nikt nie odmówi, bo być proszonym do pana hrabiego to zaszczyt, to wyróżnienie. Ściągnąć ich tutaj będzie więc łatwo, ale trochę trudniej będzie ich przekonać, gdy się już dowiedzą, czego pan od nich oczekuje.

— Zaproszę ich nie mówiąc czego oczekuję. Będą wiedzieli tylko, że chcę rozmawiać o więźniach. A wśród zaproszonych będzie... przynajmniej dwóch, którzy mnie poprą.

— Domyślam się, panie hrabio, że mecenas Krzyżanowski, bo to pański kolega z Legionów. A kto drugi?

— Zobaczy pan wieczorem.

Jubiler uniósł się lekko, jakby znowu chciał wstać.

— Przepraszam, nie rozumiem, panie hrabio... Ja też mam przyjść?!

— Jest pan zaproszony.

— Odmówiłem już panu!

— Proszę się zreflektować, panie Bartnicki. Chce pan odrzucić takie wyróżnienie?

— Nie przyjdę, panie hrabio! Proszę na mnie nie liczyć!

— Panie Bartnicki...

— Nie ma mowy! Nie ma mowy, panie hrabio! Powiedziałem już, że nie chcę brać w tym udziału!

— Co znaczy, że nie chce pan zrobić najlepszego interesu w swoim waluciarskim życiu, panie Bartnicki! Czy kiedykolwiek zaproponowano panu taką ilość tak starej i tak wartościowej biżuterii, i to po cenie, którą sam pan wyznacza? I jeszcze bez żadnych targów ze strony sprzedającego?

Bartnickiemu pot zrosił czoło i zaczął płynąć skroniami, koło uszu.

— Panie hrabio, ja zawsze płacę dobre ceny, jestem solidnym kupcem, nie jestem Żydem!



— A ja nie jestem głupcem, więc proszę mi oszczędzić takiego gadania! Umilkli obaj. Tarłowski krył zdenerwowanie, Bartnicki nie potrafił — musiał zacisnąć palce na kolanach, by dłonie przestały się trząść.

— Czy mogę prosić o papierosa? — spytał.

— Mam tu cygaretki, ale jeśli trzeba, wezwę służącego...

— Może być cygaretką, panie hrabio, to też nikotyna.

Zakrztusił się dymem od razu.

— Często pan pali, panie Bartnicki?

— W ogóle nie palę. Palę pierwszego od kilkunastu lat.

— Rozumiem... Niech pan się nie zaciąga mocno, lub w ogóle nie zaciąga.

A jak już się pan uspokoi, proszę mi powiedzieć, czy chce pan to wziąć, czy rezygnuje pan z interesu.

— Bardzo chcę, panie hrabio, lecz nie chcę się angażować w dyskusje o tym, którego z zakładników...

Tarłowski przerwał mu gwałtownym gestem i równie gwałtownym słowem:

— Proszę nie być idiotą! Kupując tę biżuterię i te numizmaty, już weźmie pan w tym wszystkim udział! Tak, panie Bartnicki! Celowo poinformowałem pana czego żąda Müller, aby miał pan pełną świadomość w czym bierze pan udział. I gdyby później ktoś pytał mnie o to — potwierdzę, iż pan doskonale wiedział w jaki układ się pan angażuje! Nie zawaham się, panie Bartnicki!

— Jednak co innego kupić to od pana, nawet wiedząc dla jakiego celu pan sprzedawał, a co innego być członkiem tego trybunału, który pan chce zebrać dziś wieczorem, panie hrabio!

Tarłowski popatrzył na niego zniecierpliwiony, gdyż cały ten upór brał bardziej za farsę, za grę pozorów, niż za reakcję wywołaną przez strach.

— Nie musi pan przychodzić. To, czy pan przyjdzie, to pańska sprawa. Ale nie przychodząc — zwiększy pan możliwość utraty swego życiowego geszeftu...

Bartnicki milczał, już nie perswadując, co wzmogło optymizm hrabiego i uskrzydliło jego retorykę:

— Pan nie tylko winien zasiąść wśród moich gości przy tym stole, lecz winien pan to zrobić aktywnie, bardzo aktywnie, panie Bartnicki.

— Aktywnie?...

— I to jak aktywnie! Pan winien mocno gardłować na rzecz wymiany więźniów, bo jeśli ta propozycja nie zostanie preforsowana, czyli przegłosowana, wówczas cała sprawa upadnie i ja nie będę musiał wyzybywać się rodowych precjozów za psi grosz!



— Ależ panie hrabio, ja...

— Niech pan to sobie dobrze rozważy, panie Bartnicki, bo od tego będzie zależało, czy w tej dalekiej mysiej dziurze, w której chce się pan przed końcem wojny zamelinować, będzie pan miał kieszeń dwa razy pełniejszą. Czekam o szóstej wieczorem!

Bartnicki jeszcze raz zdobył się na sprzeciw:

— Nie, panie hrabio! Proszę na mnie nie czekać. To znaczy — mogę przyjść z gotówką, ale nie jako uczestnik konferencji, którą pan organizuje. W niej nie wezmę udziału. Duży zysk to duża sprawa, ale życie to sprawa większa od każdego pieniędzy. Nie chcę ryzykować.

— Woli pan zaryzykować gniew kapitana Müllera?... — spytał hrabia, sięgając po argument, po który sięgać nie pragnął, lecz upór Bartnickiego nie dawał mu wyboru.

— Dlaczego gniew Müllera?... — szepnął pobladłymi wargami jubiler.

— Bo pan kapitan bardzo liczy na duży łup, i kiedy omawiałem z nim szczegóły, polecił mi pana jako bankiera, który za moje złoto dostarczy żadaną amerykańską gotówkę.

— Wymienił moje nazwisko?!

— Zupełnie poprawnie, panie B a r t n y c k y.

— No dobrze, i co z tego? Przecież nie uchylam się od kupienia tych precjozów...

— Ale uchyla się pan od zaproszenia na kolację, nie rozumiejąc, że moja oferta jest dubeltowa. Wy, finansiści, nazywacie to chyba „*transakcją wiążaną*”. Albo przyjdzie pan tu jako bankier i jako współuczestnik decyzyjnego gremium, albo proszę w ogóle nie przychodzić. Jeśli nie przyjdzie pan — Müller się dowie, że przez pana utracił łup. I wówczas pewnie podziękuje panu.

— To... to jest... — Bartnicki nie mógł wykrztusić epitetu.

Tarłowski go wyręczył:

— Tak, to jest szantaż. A więc o siódmej wieczorem. Do widzenia, panie Bartnicki.

Jubiler wstał, ukłonił się z szacunkiem i podreptał ku drzwiom jak nakręcony automat. Dogonił go głos gospodarza:

— Proszę nie zapomnieć — tylko setki i pięćdziesiątki! I proszę wziąć całość ze sobą. Jeżeli wszystko się uda, wówczas od ręki dam panu to, czego pan chce.



# AKT III





Parę minut po osiemnastej przy wielkim stole siedziało jedenastu ludzi:

Mecenas Alojzy Krzyżanowski, wysoki, szczupły jak tyka okularnik, którego chód przypominał stąpanie żurawi i bocianów, a mowa retorykę kaznodziejską. Człowiek ten, będąc uczestnikiem wielu sądowych rozpraw wszelakiego typu — od rozwodowych i majątkowych do artystycznych i politycznych — nauczył się, że ludzie mają z prawdą tyle samo wspólnego, co gazety dwóch państw toczących zacieklą wojnę, pełne frontowych doniesień, według których każda walcząca armia została już wybita do nogi, i to kilka razy.

Profesor Mieczysław Stańczak, filozof, zwolennik dystansu wobec wszystkich rzeczy poważnych a nawet groźnych, niczym owi błazeńscy mędracy, którzy roztrząsając problemy zgonu lub cierpienia wybuchają co pewien czas śmiechem. Nosił przed sobą brzuchogodny sześcioraczków, a na głowie kupę srebra źle przyczesanego. Ruszał się wolno — ktoś mógłby rzec, iż majestatycznie, a ktoś drugi, iż ospale — lecz myślał szybko jak piorun. Potrafił zabić jednym słowem i prawić uprzejmości takim tonem, że komplementowanemu rozmówcy pełzył po plecach zimny dreszcz. W starych choć wciąż błyszczących oczach miał całą legendę komedii ludzkiej i folwarku zwierzęcego.

Redaktor Krystian Kłos, dobiegający sześćdziesiątki, a wyglądający na młodszego o kilkanaście lat dzięki pomadom, kremom, pudrom, farbkom i gimnastyce porannej. Cienki czarny wąsik tancerzy tanga i prowincjonalnych fryzjerów sugerował tępotę właściciela, lecz było to wrażenie mylące, gdyż Kłos, absolwent wydziału historii lwowskiego Uniwerku, miał zupełnie znośny poziom erudycji. Ów morderczy wąsik i zabójczy przedziałek równie czarnych włosów służyły przywabianiu dam, na których redaktor mścił się za to, że swego czasu opuściła go ukochana małżonka. Pewnego dnia odbyła z nim krótką rozmowę, podczas której dowiedział się prawdy o życiu, i wyszła bezterminowo, zaś on gorzkniał regularnie i zwalczał upływający czas mnożeniem seksualnych triumfów.

Magister Zygmunt Bruś, aptekarz, farmaceuta z powołania, a z zamiłowania także kobieciarz, który jednak grzeszne życie rozpoczął bardziej po Bożemu, dopiero jako nieutulony wdowiec. Swoim konkubinom wysyłał bukiety róż ledwie mieszczące się w drzwiach, i traktował te panie delikatniej niż redaktor Kłos, bez epitetów i boksterskich rękoczynów. Miał ciągłe problemy chorobowe wskutek nadużywania cudownych lekarstw, których był znawcą i sprzedawcą. Swoją fach zaślubił po dziadku i ojcu, miłośnicie, tak jak wenecki



doża poślubia Adriatyk, jak papież poślubia Kościół, jak oblubieniec poślubia oblubienicę w „**Pieśni nad pieśniami**”, jak alpinista poślubia góry, nurek głębiny, a Cygan swoje skrzypce na bezkresnych drogach.

Romułd Kortoń, dyrektor kina w Rudniku, z wykształcenia teatrolog, a z przekonań politycznych i z przynależności partyjnej endek (członek Narodowej Demokracji). Kortoń dolegliwości fizycznych miał mało — chyba że jako dolegliwość liczyć płaskostopie i piegi — za to psychicznych dużo, i to codziennych, powodowanych walką o zwycięstwo idei narodowej. Zwycięstwo nie ziściło się przed wojną, gdyż „*socjał*” Piłsudski zaćmił narodowca Dmowskiego, a w czasie okupacji też się spóźniało, bo prócz okupantów bruździli endekom i partnerzy-konkurenci, czyli Armia Krajowa. Rudnicki rezydent partyzantki narodowców (NSZ — Narodowe Siły Zbrojne), rotmistrz Kortoń, jako niezłomny patriota uważał, że chociaż w Polsce żyje mniej więcej tyle samo głupców, co w każdym innym kraju, to jednak cudzoziemscy głupcy są beznadziejnymi durniami, gdy polski bałwan ma we krwi trochę wrodzonego szowinizmu, więc kiedy tylko masowo oprzytomnieje — idea narodowa zatriumfuje.

Doktor Bogusław Hanusz, wiceordynator miejskiego szpitala. Człowiek ten nosząc kitel imponował sprawnością i energią, lecz ubrany „po cywilnemu”, w garnitur, szlafrok lub płaszcz, robił wrażenie mamroczącego safandudy, chociaż wewnątrz zachowywał (nieco wówczas uśpiony) jasny, przenikliwy rozum tudzież zdolność (czy raczej gotowość bycia zdolnym) do głębokich analiz i do subtelnego formułowania celnych wniosków. Najchętniej francuszczyzną. Język francuski, stworzony dla bezproduktywnego filozofowania i dla nadawania obelgom form wyrafinowanych jak trujące perfumy, Hanusz kochał nie za to, lecz za prozę Balzaca, którą studiował ciągle. Szczególną satysfakcję czerpał porównując Boyowskie tłumaczenia dzieł Balzaca z oryginałami gwoli łowienia błędów. Do pałacu przybył zmęczony i zestresowany — miał tego dnia cztery operacje; jedna się nie udała.

Radca Roman Malewicz, emeryt, zwany radcą zwyczajowo, po galicyjsku. Chociaż od dawna nie sprawował żadnej urzędowej funkcji, cieszył się w Rudniku autorytetem równym autorytetowi burmistrza. Był najstarszym uczestnikiem posiedzenia; już przed wojną wyglądał tak sędziwie, że mógłby tym wspomagać wiecznie dziurawe szkolne budżety: chcąc ukazać dzieciom co to jest „*zabytek przeszłości*”, nie trzeba byłoby organizować kosztownych wycieczek po ruinach zamków i klasztorów — starczyłoby wezwać tego człowieka o fizjonomii pełnej głębokich bruzd i wątrobianych plam. Malewicz



był pradawnym rycerzem i starość nie odebrała mu tego. Należał do tych nielicznych ludzi, którzy — gdy los zetknie ich ze skurwysynem — mają odwagę zakomunikować skurwysynowi (i to już „w pierwszych słowach swojego listu”) co o nim myślą.

Nauczyciel Zbigniew Mertel, zastępca dyrektora szkoły ogrodniczej w Rudniku (wszystkie in ne szkoły w Rudniku Niemcy skasowali jako zbędne dla podludzi o słowiańskim rodowodzie). Był dużo młodszy niż Malewicz, ale nosił już sporą łysinę, wyraźnie niezadowoloną z resztki włosów, które wianuszkami okalały jego kwadratowy łeb niczym korona cierniowa. Koronę tę mógł zainkasować każdej doby — wystarczyło, by Niemcy dowiedzieli się, że jest oficerem przedwojennej Dwójki (Drugi Oddział Sztabu Generalnego czyli wywiad), teraz rezydentem AK w Rudniku. Wszystkie tajemnice największej i najczęściej szarpiącej okupanta „leśnej bandy” dystryktu lubelskiego miały lokum pod czaszką i pod podłogą kapitana Mertla, wykładowcy tajników zapylania, szczepienia, przesadzania i podlewania flory kwiatowej.

Przodownik Stanisław Godlewski, najmłodszy wśród zebranych. Nie będąc ani kaleką, ani karłem — od urodzenia był pokraką, gdyż miał ciało zapaśnika wagi ciężkiej i maleńką kobiecą twarz. Posługiwał się na codzień językiem pasującym do tego ciała, a nie do tej twarzy — językiem dalekim od akademickich kanonów i od slangu wypomadowanych pyskaczy szpanujących dialektem a la „ferajna”. Ów twardy żargon dziwek i bandziorów, zaśpiew brudnych pieniędzy i ostrych „kos”, był wszakże kłopotliwy w kontaktach ze zwierzchnikami i z normalnymi obywatelami, więc Godlewski nauczył się też języka pasującego do kościoła i do przedszkola, aczkolwiek tu miał zasób słów skromniejszy nieco. Lubiano go powszechnie, bo jako „granatowy glina” chętniej służył rodakom niż okupantom, często ryzykując własną głową i nie biorąc przy tym zbyt dużo do kieszeni, chociaż prócz żony i dzieci miał starą matkę na garnuszku.

Poczmistrz Bronisław Sedlak, przed wojną komunista, teraz kryptokomunista o fałszywym nazwisku. Wyszedł z twardej szkoły Kominternu, tyłek utwardziły mu więzienia Polski sanacyjnej, a życie nauczyło go prawdziwego (nie udawanego) szacunku tylko dla tych bliźnich, którzy byli odeń silniejsi fizycznie. Bez wątplenia podobałby się Freudowi — idealnie reprezentował typ przysypiających neurasteników, jednak nieszkodliwych tylko chwilowo, póki stres nie detonuje adrenaliny eksplozyjnej. Kobietom podobał się mniej, mimo dyskretnej elegancji przejawianej noszeniem



garniturę o kolorze „angielskiej mgły” (co miało maskować jego „pochodzenie klasowe”), gdyż był szybko tetryczającym facetem, jednym z tych, którym codziennie furkot wypadających włosów przypomina, że śmietnik życia jest już bardziej za nimi aniżeli przed nimi. Naczelnikiem poczty został dzięki sowieckiej agenturze, w roku 1940, gdy jeszcze Sowieci i Hitlerowcy tworzyli orkiestrę wspólną.

Ksiądz Julian Hawryłko, proboszcz parafii rudnickiej. Po mieście chodził zazwyczaj w „cywilnym” ubraniu (chyba że niósł posługę religijną), nie dbając o wygląd — jego bruździasta twarz przypominała jego niestaranną fryzurę, zmiętą koszulę i zdeformowane buty, wszystko to pasowało do siebie. Prócz głosu — jego wesoły głos, niby głos bon-vivanta, człowieka, który żyje tak jak chce i jak wielu by chciało — nie pasował ani do zoranej twarzy, ani do profesji duchownego. Profesji zawsze trudnej podczas wojny, bo gdy śmierć zbiera bezmyślne żniwo — strasznie ciężko jest mówić ludziom o Bożej wszechmocy i Bożym nieskończonym miłosierdziu. W okupowanej Polsce żniwo było makabryczne — ludzi mordowano setkami, tysiącami, milionami... Ksiądz Hawryłko szedł do pałacu hrabiego Tarłowskiego jakby czując co się święci — założył sutannę, aby być gotowym na wszystko, na każde zło tego świata.

Stół był gęsto zastawiony dla gości. Obok kilku karafek z nalewką i kilku popielniczek widniały tam koszycki z chlebem, półmiski z kielbasą i szynką, miseczki pełne ogórków, marynowane grzyby, i zastawa indywidualna — przed każdym krzesłem po talerzu, talerzyku, kieliszku, szklanicy, i sztucce na haftowanej serwetce. Trzynasty komplet leżał u szczytu stołu, gdzie miał podjechać swym wózkiem Tarłowski. Wyczekiwano gospodarza, zabijając czas paplaniną. Bruś i Kłós dyskutowali o alkoholu:

- Więc to jest ta przesławna nalewka rodowa! Zobaczymy, zobaczymy!
- Zobaczymy i zatęsknimy do czystej, bo nalewka jak nalewka — musi być trochę przesłodzona.
- Niekoniecznie, bywają kwaśne naleweczki.
- Ja tam wolę czyściochę. Ale wyłącznie dobrą czyściochę, tę z białą główką.
- Od czyściochy dostaje się kaca...
- Tylko od źle destylowanej czyściochy, mój panie. Lub od nadmiaru przyzwoitej czyściochy. Od nadmiaru!
- Ja tam od nadmiaru nie dostaję kaca, ale od jednego kieliszka czystej dostaję po łbie — wtrącił się przodownik Godlewski.



— Po łbie? — zdziwił się Bruś.

— Ano tak. Przed wracaniem do domu nie mogę pić, bo moja stara to alkoholomierz, psia jej mać!

— A mnie czysta leczy.

— Z czego?

— Ze wszystkiego. Albo mnie rozgrzewa, albo oziębia, albo...

— Oziębia? Czysta?!

— To prawda — tym razem wtrącił się doktor Hanusz. — Klimatyzacyjne zalety czystego alkoholu były już dawno znane. Wiadomo, że wódka chroni przed mrozem, bo rozgrzewa zziębniętego, i przed upałem, bo kiedy we wnętrzu robi się bardzo ciepło, to powietrze na zewnątrz wydaje się dzięki kontrastowi stanowczo chłodniejsze niż jest w istocie, i nawet przyjemnie orzeźwia.

Druga połowa stołu zajęta była rozmową o zeszło nocnej strzelaninie wokół torów kolejowych.

— Zginęła stara Zośka Garmulanka, siostra dróżnika. Od zabłąkanej kuli, taki fart! — poinformował Kortoń.

— No proszę — prychnął Sedlak — a codziennie pół dnia przesiadywała w kościele! Widać modlitwy nie chronią dewotów.

— Tak jak marksizmy nie chronią idiotów — mruknął Mertel pod nosem, ale zbyt cicho, żeby go usłyszano.

— Czytałem — ciągnął Sedlak — iż u Muzułmanów oraz u afrykańskich Murzynów, prócz modlitw albo szamańskich zaklęć, stosowane są specyfiki przeciwko kulom. Na przykład maście antykulowe. Wysmarujesz całe ciało i jesteś kuloodporny. To by się u nas przydało, co nie? Ja myślę...

— U nas już to było — przerwał mu radca Malewicz.

— U nas?!... — zdziwił się cały chór.

— Za Powstania Kościuszkowskiego. Ojcowie Benoni sprzedawali w swym klasztorze warszawskim, na Nowym Mieście, poświęcone kartki, które rzekomo chroniły od kul. Brali drogo, jedna kosztowała pięć złotych.

— I co? Działo?

— Nie zawsze. Ale jak rodzina truposza przychodziła z reklamacją, braciszkuwie tłumaczyli, że widocznie nieboszczyk miał grzech śmiertelny na sumieniu, co zniwelowało moc kartki świętej. Uciulali tymi kartkami fortunę, bo popyt był ogromny.

— A dlaczego Naczelnik nie tępi takich zabobonów? — spytał Sedlak.



— Bo kartkowe pospólstwo szło w ogień jak do tańca — wyjaśnił Malewicz.

— Ufne w moc Bożą, przecież „*Pan Bóg kule nosi*”, prawda, proszę księdza? — zaczął Hawryłkę profesor Stańczak. — Więc i tej biednej dróżnikowej Zośce dostało się od Pana Boga, mam rację, księżulu?

Hawryłko pokręcił głową, trochę przecząco, a trochę z politowaniem dla głupawej zaczepki. Stańczak jednakowoż nie miał ochoty wycofać się:

— Ksiądz dzisiaj w uniformie galowym, aż miło popatrzeć!... Jeszcze milej byłoby widzieć księdza w fioletach lub w purpurach, lecz jakoś ksiądz nie może doczekać awansu. Czyżby podpadło się biskupowi, hę?

— Nie trzeba mi ziemskich awansów, profesorze — wyjaśnił Hawryłko.

— Praca z owczarnią Bożą starczy mi na awans do Królestwa Niebieskiego.

— Może starczy, a może nie starczy. I może właśnie dzisiaj się to okaże, księżulu... Żeby awansować, trzeba mieć ambicję chodzenia drabiną hierarchiczną, brak tej ambicji jest kalectwem.

— Kościół widzi to inaczej, nie tak po ziemsku — rzekł Hawryłko.

— Czyżby? To dlaczego księżęta Kościoła biją się o stołki kościelne, albo o tron papieski?

— Znam pyszny kawał na ten temat! — zagrzmiał Kortoń. — Słuchajcie! Jadą w pociągu Żyd i młody wikary. Siedzą vis-à-vis siebie. Raptem Żyd pyta: „— *Jak ksiądz awansuje, to kim zostanie?*”. „— *Mogę zostać proboszczem*” — odpowiada wikary. „— *A później?*” — pyta Żyd. „— *Później mogę zostać kanonikiem*”. „— *A jeszcze później?*”. „— *Jeszcze później mogę zostać prątatem*”. „— *A dalej co?*”. „— *Dalej, gdybym miał wybitne zasługi, to mogę zostać biskupem*”. „— *Można jeszcze więcej?*”. „— *Tak, można. Z woli Ojca Świętego mógłbym zostać kardynałem*”. „— *Ten wasz Ojciec Święty to papież, czy dobrze gadam? On całym waszym Kościołem rządzi, co?*”. „— *Tak, całym*”. „— *To dopiero byłby awans, proszę księdza! No bo jeszcze wyżej...*”. Wikary kręci głową; „— *Wyżej już nie można. Przecież nie mogę zostać Panem Bogiem*”. A na to Żyd: „— *Dlaczego nie? Jednemu z naszych się udało*”.

Gremialny wybuch śmiechu przerwał mecenas Krzyżanowski:

— Według Słowackiego jednemu z naszych przypadnie Stolica Apostolska...

— Nieprawda, panie mecenasie — zaoponował Malewicz. — Julek S. wieszczył „*papieża słowiańskiego*”, a nie polskiego. Co nie wyklucza Polaka, ale może być i Czech, i...



W tym momencie kamerdyner Łukasz wepchnął do sali wózek z hrabią. Goście umilkli i wstali, witając gospodarza.

— Witam panów i serdecznie dziękuję za przybycie — rzeki Tarłowski. — Jesteś wolny, Łukasz... Siadajcie, panowie. Proszę jeść i pić. Mam nadzieję, że panowie mi wybaczą, iż podejmuję panów tak po chłopsku, lecz sprawa... bardzo ważna sprawa... wynikła nagle i moja kucharka nie zdążyła się przygotować, choć wiem, że pitrasi także coś gorącego, co później będzie podane...

— Ależ, panie hrabio, w dzisiejszych czasach to i tak... — przypochlebił się Bruś.

Tarłowski wskazał na wolne krzesło, marszcząc brew:

— Pan Bartnicki nie był łaskaw, czy się spóźnia?

— Spóźni się trochę — wyjaśnił doktor Hanusz. — Załatwia jakąś gardłową sprawę i kazał mi przeprosić pana hrabiego w swoim imieniu.

— Nie będziemy czekać, czasu jest bardzo mało — zdecydował gospodarz. — Panowie, przechodzę do rzeczy. Zaprosiłem panów, najszacowniejszych obywateli Rudnika, gdyż, jak panowie wiecie, Gestapo aresztowało dziesięciu...

— Najszacowniejszych obywateli Rudnika — wtrącił profesor Stańczak tonem wyzbytym sarkazmu, ale uwaga była i tak nieco sarkastyczna przez swą treść.

— Właśnie. Można jednak coś w tej sprawie zrobić. Chodzi o trudną decyzję, bardzo trudną, której samodzielnie podjąć nie mógłbym, dlatego zaprosiłem panów. Szef Gestapo, Müller, złożył mi pewną propozycję... Rozmawiałem z nim kilka godzin temu. Müller zgadza się wypuścić czterech aresztowanych. Zgadza się, aby ich wykupiono.

— Dlaczego tylko czterech? — spytał Godlewski.

— Tego nie wiem. Chyba boi się zwierzchnika. Przecież nie może uwolnić wszystkich, a chce zarobić, więc uznał, że czterech to bezpieczne. Czterech to więcej niż nic, proszę panów.

— Ile chce wziąć? — spytał Kortoń.

— Za każdego uwolnionego żąda dwadzieścia tysięcy dolarów.

Echem tych słów był szmer biegnący wokół stołu, pełen tłumionych parskań i przekleństw:

— Bydlak!

— Skurwiel!

— Szwabska hiena!



— Pieprzony Szkop!  
— Nigdy nie płacono nawet połowę tej sumy!  
— Celowo tyle zażądał, by nic z tego nie wyszło!  
— Lub żeby zbić majątek.  
— Kto to zapłaci ?!  
— Co za łajdus! Nie dość, że morduje ludzi, to jeszcze kupczy ludźmi jak handlarz niewolników, psiakrew!

Gdy warczenia ucichły, aptekarz Bruś podsumował je mówiąc:

— Panie hrabio, to ogromna suma... Żaden z nas nie mógłby nawet...  
— Nie zebrałem tu panów, by robić zbiórkę pieniędzy — uspokoił go hrabia.

— Całe miasto nie wydoiłoby takiej sumy — rzekł Kłos. — Cztery razy dwadzieścia to osiemdziesiąt tysięcy dolarów, fortuna! Nawet w Lublinie płaci się za więźnia dwa, góra trzy tysiące, proszę panów...

— Ale nie za więźnia przeznaczonego do rozwałki, takiego po wyroku, panie redaktorze — skorygował Sedlak.

— Tu nie było przecież żadnego wyroku, bo nie było sądu — podniósł Hawryłko.

— Niech ksiądz nie będzie śmieszny! — skarcił go Sedlak. — Decyzja centrali dystryktu ma moc wyroku sądowego, to tryb administracyjny skazywania więźniów. Czy ksiądz się urwał z choinki, czy narodził dopiero dzisiaj? Wszyscy, których aresztował Müller, mają urzędowy wyrok, a ratowanie pieniędzmi takich wyrokowców kosztuje dużo drożej, dużo więcej niż trzy tysiące zielonych.

— Owszem, dwa razy więcej — rzeki dziennikarz. — Niechby i trzy razy więcej. Ale dwadzieścia tysięcy zielonych?! Panowie!

Mecenas Krzyżanowski podniósł rękę, uciszając dyskutantów i dając znać, że sam chce zabrać głos.

— Dziwicie się, panowie? Tu nie ma nic dziwnego, rzecz jest klarowna jak mało co. Szkopy obrywają po tyłku na wszystkich frontach, na wschodzie, na zachodzie, na południu, wszędzie. W Lublinie niedługo Rusczy będą rządzić. Müller rozumie ile zostało mu czasu na zgromadzenie łupu wojennego, więc winduje ceny. To jest prawo upadającego rynku.

— Panowie — rzekł hrabia — Müller dał mi tylko parę godzin na podjęcie decyzji.

— Ale może uda się zmniejszyć tę koszmarną sumę. Trzeba się targować, panie hrabio! — podsunął Bruś.





— Müller nie będzie się targował z nami. Możemy jego propozycję odrzucić lub przyjąć. Mamy czas do rana.

— Mamy czas do śmierci, a nawet dłużej! — prychnął Kłos. — Nie zebralibyśmy takiej sumy nawet w życiu pozagrobowym...

— Ja wyłożę całą sumę, proszę panów.

Deklarację gospodarza przyjęło osłupienie mierzone siłą zbiorowego wzroku, który spoczął na jego twarzy.

— Wykupię wszystkich czterech — kontynuował hrabia. — Pod warunkiem, że wśród wykupionych będzie mój syn.

— To najzupełniej oczywiste, panie hrabio! Pan płaci, pan decyduje! — zawyrokował Kortoń, a kilku innych skinęło głowami dla potwierdzenia.

— To wcale nie jest oczywiste, moi panowie, bo chciałbym, abyśmy podjęli decyzję wspólną. Wszelako nie ukrywam, że jeśli mój syn nie znajdzie się wśród czterech wytypowanych — moja oferta finansowa przestanie być aktualna. Zapłacę tylko wówczas, gdy Marek będzie mógł wrócić do domu.

Z drugiej strony stołu rozległ się szydery chichot. Chichotał profesor Stańczak, a gdy dzięki temu wszyscy spojrzeli na niego, usprawiedliwił się równie kpiarsko, cytując reklamowy bon—mot Forda:

— Jednym słowem, panowie — każdy może sobie kupić samochód o takim kolorze, jaki mu przypadnie do gustu, pod warunkiem, że będzie to czarny Ford-T!

— A pan, będąc na miejscu pana hrabiego, uiściłby całą sumę za wykupionych nie wykupując własnego dziecka, co, panie profesorze?! — syknął Kortoń.

— To był żart — bronił się Stańczak. — Dowcip mający rozluźnić atmosferę...

— Panie profesorze, pański dowcip jest nie na miejscu! — wzburzył się mecenas Krzyżanowski. — Winniśmy wszyscy wdzięczność Teo... znaczy gospodarzowi, i to wdzięczność podwójną. Raz, że wynegocjował z tym Müllerem życie czterech zakładników, a dwa, że sam chce ponieść wszystkie koszty. To szlachetny gest, godny rodu Tarłowskich, jakże dla naszej ojczyzny zasłużonego!

Kortoń chciał bić głośnie brawa, ale szybko przestał bić w ogóle, bo jego manualna inicjatywa nie została gremialnie podjęta. Wzniósł kielich.

— Jestem tego samego zdania, co mecenas Krzyżanowski, i chyba wszyscy jesteście tego samego zdania, panowie!... Wznoszę na cześć pana hrabiego toast dziękczynny! Pijmy wraz!



Nie pił tylko ksiądz, a profesor Stańczak, zanim opróżnił kieliszek, mruknął cicho:

— Pod warunkiem, że będzie to rodowa nalewka firmy Tarłowskich hrabiów!

Redaktor Kłos, siedzący obok księdza Hawryłki, spytał:

— Czemu ksiądz proboszcz z nami nie pije?

— Alkohol źle mi służy, synu.

— To ksiądz musi cierpieć podczas każdej mszy, chlejąc rytualne wino. Współczuję! — zadrwił Stańczak.

Przez chwilę po toaście, który rozluźnił prawie wszystkich, nakładano sobie wędlinę, smarowano masłem kromki chleba i dzielono ogórki. W chóralne mlaskanie zaingerował słowami mecenas:

— Panowie, proszę o uwagę!... Rozumiem, że decyzja, aby wśród czterech wykupionych był hrabicz Marek, jest tak oczywista, iż nie podlega dyskusji...

Odpowiedział mu kilkugłosowy aprobujący pomruk.

— ... Zatem przedyskutować musimy innych. Musimy ustalić resztę więźniów do wyciągnięcia z łap Gestapo. Trzech — trzy nazwiska.

— A dlaczego mamy dyskutować? — spytał Malewicz.

— Pan żartuje, panie radco?... — zdumiał się Krzyżanowski.

— Nie, mówię serio. Zwyczajnie nie rozumiem dlaczego mamy to przedyskutować...

— Zna pan lepszy sposób na dokonanie tak trudnego wyboru?

— Znam. Losowanie, panie mecenasie, wybór przez losowanie! Właśnie dlatego, że wybór jest taki trudny, a jest trudny, bo każdy z więźniów zasługuje na ratunek, my jednak możemy uratować tylko trzech...

— Czterech!

— ... owszem, czterech, ale wybrać możemy tylko trójkę, proszę pana, gdy tam, prócz młodego Tarłowskiego, siedzi jeszcze dziewięciu przyzwoitych ludzi. Właśnie dlatego trzeba losować, by każdy z nich miał równe szansę.

Profesor Stańczak, przeżuwający akurat kawałek boczku, połknął go gwałtownie, pragnąc zdążyć się wtrącić:

— My zaś szansę na uratowanie spokoju własnych sumień, bo jak się wrzuci do kapelusza dziewięć kartek z nazwiskami i wyciągnie trzech szczęśliwców — to winną śmierci sześciu pozostałych będzie tylko pani fortuna. Prawda, panie radco ?

— Lub pani opatrność — dodał złośliwie Sedlak. — Boża opatrność, żeby było jasne.



— To pan przestał być ateistą, panie naczelniku? — fuknął Stańczak.

— Skąd! Wciąż, podobnie jak pan, nie wierzę w Boga, profesorze, bo wciąż nie spotkałem kogoś, kto by mi racjonalnie udowodnił, że istnieje Trójca Święta!

— Wypraszam sobie, nie ma tu podobieństw między nami; pan, mimo swoich lat, dalej nie rozumie nic! — zagniewał się filozof. — Kiedy pan wreszcie pojmie, że wiara w Boga oparta o racjonalne przesłanki to absurd?!... Wierzyć można tylko wbrew całej historii i logice świata. Lecz na tym właśnie polega istota wiary — na negacji wszelkich argumentów przeciw istnieniu Boga. Wiara jest marzeniem, a więc czymś piękniejszym i doskonalszym od siły rozumu. Kwestią serca.

— To czemu pan wciąż taki bezsercowy, psiakrew?! — zaperzył się Sedlak. — Tak trudno panu marzyć, co?

— Poczmistrzu kochany, ty dalej nic nie rozumiesz, widać ogłupia cię notoryczna lektura „**Kapitału**”! Uwierzyć w Boga jest zaiste dużo łatwiej niż zrozumieć dlaczego bogaci są nieszczęśliwi...

— Panowie! — krzyknął mecenas. — Pofilozofujecie sobie jutro, a teraz nie kradnijcie nam czasu, tu się decydują losy ludzi!

— Więc będziemy rozstrzygać te losy ciągnąc losy? — zapytał Stańczak. — Fortuna potoczy się kołem, dokona sprawiedliwego wyboru i odejdzie w hańbie jako winna śmierci sześciu pechowców!

— Pański argument to czysta demagogia, panie profesorze! — zauważył Bruś. — Cały ten popis ironizowania metafizycznego, obwinianie fortuny...

— Pan chyba źle zrozumiał profesora, panie magistrze — przerwał mu Mertel, wymachując serwetką, którą właśnie otarł sobie wargi. — Profesor Stańczak był łaskaw wykpiwać nas, czyli potencjalnych winowajców. Co, oczywiście, jest równie bez sensu jak zrzucanie winy na los. Za śmierć któregokolwiek z więźniów winić można tylko okupanta, lub wojnę jako taką, ale nas w żadnym przypadku! Aspekt metafizyczny niewątpliwie tu istnieje, bo to jest rzeczywiście fatum, ale bieżąca realność jest teraz taka: my mamy uratować kilku spośród tych ludzi. Kropka, panowie! Pytanie: jak ich wybrać? Jestem przeciwko losowaniu! Kategorycznie przeciwko!

— Słusznie! — dołączył się Kortoń. — Też jestem przeciwko loterii! To prawda, że wszyscy, których aresztował Müller, zasługują na pomoc. Ale niektórzy bardziej zasługują, proszę panów!

— Czemu? — zdziwił się ksiądz.



I Mertel, i Kortori pragnęli udzielić odpowiedzi Hawryłce, lecz wyprzedził ich swym „*luzackim*” basem Stańczak:

— Bo wszyscy są równi, ale niektórzy są równiejsi, jak to w życiu, ksiądz jeszcze nie dostrzegł tego? Równość, tak biologicznie, jak i psychologicznie czyli mentalnie, to brednia, wbrew agitacjom jakobinów i bolszewików, i wbrew temu, co reklamował najwyższy przełożony księdza, Galilejczyk.

— Jezus Chrystus chciał tylko, żeby maluczcy... — próbował argumentować Hawryłko, lecz profesor nie dał mu skończyć.

— Chciał, aby wszyscy byli maluczcy, lub żeby wszyscy byli średni, w każdym razie podobni do siebie duchowo niczym parówka do parówki, proszę księdza! Tymczasem egalitarystyczny punkt widzenia jest całkowicie na bakier z biologią, z cywilizacją i z sensem, to czysty absurd.

— Pan się powtarza, profesorze! — burknął Malewicz.

— Nigdy nie dość powtarzania, że ideologia egalitaryzmu jest takim samym kłamstwem jak każdy system, który zawdzięczamy ideologom! Glina, z której ideolodzy próbują ulepić nowego człowieka, zawsze okazuje się błotem...

— Nie wszyscy ideolodzy! — oBruśzył się Sedlak.

— Pan jest adwokatem Hegla czy Marksa, drogi poczmistrzu? A może kauzyperdą drugorzędnych dialektyków — Engelsa, Lenina bądź innego kretyna?

Nim Sedlak zdążył odwarknąć Stańczakowi, nad stołem przepłynął łagodny głos doktora Hanusza:

— Drogi panie profesorze — pan, jako filozof, tworzy...

— Właśnie! — wyrwał się Bruś. — Ja mam już tego dosyć, i panowie chyba też!... Wszystkie te pokićkane pseudofilozofie i pseudopsychologie, wszystkie te pieprzniete konstrukcje myślowe naciągane tak, że gumki w majtkach pękają...

Przerwało mu wejście, a raczej wbiegnięcie Bartnickiego.

— Proszę mi darować spóźnienie, panie hrabio! — wysapał jubiler.

— Jest pan gotów? — zapytał gospodarz.

— Właściwie tak, panie hrabio.

— Więc niech pan siada, niech pan je i niech pan się przyłączy do dyskusji.

Bartnicki zajął wolne krzesło między Malewiczem a Godlewskim, i spytał radcę szeptem:

— O czym dyskutujemy?

— O zaletach i wadach loteryjnego ratowania skazańców.

Krzyżanowski wykorzystał chwilę zbiorowego milczenia, przynaglając:



— Panowie, ciągle odbiegamy od tematu! Nie czas na filozoficzne spekulacje, żarciki albo jałowe wymiany intelektualnych poglądów! Mamy rozstrzygnąć życiową kwestię...

— Raczej śmiertelną — uściślił Stańczak. — Co ma zresztą ten sens, że tylko wobec śmierci wszyscy jesteśmy równi, choć i tu niezupełnie, bo jedni umierają młodo, a inni dożywają sklerozy, więc może zastosujemy kryterium wieku. Uznajmy, że trzeba ratować najmłodszych spośród aresztowanych, bo oni przeżyli najmniej.

— I to, pańskim zdaniem, byłby wybór sprawiedliwy? — zdumiał się aptekarz.

— A czy ja powiedziałem, że sprawiedliwy, drogi pigularzu? Proszę bardzo — wybierzmy najprzystojniejszych, będzie to wybór taki sam. Albo najgrubszych...

— Z takimi błazeństwami kojarzy się panu sprawiedliwość?

— Nie, ponieważ zasadniczo nie wierzę w sprawiedliwość. Każdy nasz wybór będzie głupi. Czy będziemy losować, czy będziemy argumentować — to wszystko jedno.

— To wcale nie jest wszystko jedno! — zaoponował energicznie Kortoń. — Są wśród tych dziewięciu ludzie nie tylko bardzo zasłużeni, ale i bardzo potrzebni, proszę panów!

— Każdy jest potrzebny swojej rodzinie, bracia — rzekł Hawryłko.

— Ale niektórzy są potrzebni wielu rodzinom! Bardzo wielu rodzinom!

— Mówi pan o dyrektorze szpitala, o panu Stasince? — spytał Malewicz.

— Nie, mówię o ludziach potrzebnych całemu narodowi! Takim człowiekiem jest pan Trygier, dyrektor tartaku!

— Dlaczego właśnie on?

— Bo... ręczę panu, panie radco, że właśnie pan Trygier musi być wykupiony!

Malewicz nie ustąpił:

— Współczuję każdemu, jednak moim zdaniem tacy ludzie jak ordynator szpitala miejskiego, profesor Stasinka, są społeczeństwu bardziej potrzebni niż pan Trygier.

— A to dlaczego?!

— Dlatego, że ordynatora szpitala potrzebujemy do ratowania wielu pacjentów, a dyrektora tartaku do przerabiania lasu na tarcicę — to chyba jest jakaś różnica, co?! — zirytował się Malewicz.

Kortoń spuścił z tonu:



— Ależ ja nie mam nic przeciwko profesorowi Stasince. Zresztą są trzy miejsca. Niech będzie Trygier, Stasinka i...

— I pan leśniczy Ostrowski! — uzupełnił Mertel.

— Właśnie, i pan leśniczy Ostrowski! — zgodził się Kortoń.

Po raz pierwszy zabrał głos Bartnicki, przerywając krojenie ogórka:

— Moment, moment, proszę panów! Spóźniłem się, więc nie wiem jaką grę panowie grają tutaj, ale może rozpatrzymy inne kandydatury również...

— Pan dyrektor kinematografu rozgrywa gierkę endecką, chcąc uratować partyjnego kumpla — wyjaśnił Bartnickiemu Bruś. — Jeno nie zauważył, że tu wokół stołu siedzi trzynastu ludzi, i nie zrozumiał, że decyzję musimy wspólnie podjąć!... Jak każdy ma swojego kandydata, to i ja mam swojego też. Proponuję, żeby pan sędzia Iwicki został wykupiony!

Mecenas Krzyżanowski bezzwłocznie temu przyklasnął:

— Popieram propozycję pana magistra!

Kortoń spojrzał na Mertla i uniósł się, odsuwając krzesło. Mertel wstał również. Podeszli do szklanej ściany między salonem a tarasem, i odwróceniu ku niej szeptali gorączkowo. Na zewnątrz przybywało chmur i zrywał się coraz silniejszy wiatr, zwiastujący, że idzie burza. Wewnątrz było już mglisto od dymu, palili prawie wszyscy zaproszeni. Bartnicki, aby nadrobić spóźnienie, kołł głód wcinając szynkową jak automat, lecz między dwoma kęsami przypomniawszy sobie czołowego kupca wśród swoich klientów:

— Czy o panu burmistrzu Wenclu, i o tym ile nasze miasto mu zawdzięcza, już panowie zapomnieli?

— Tak samo o panu Kuźmiczu! — dodał Sedlak. — Przecież on, jako dyrektor muzeum tego miasta, zrobił tyle dla...

— Dla pana, panie naczelniku, zrobił najwięcej, kupując od pana rzadkie marki pocztowe do swojej kolekcji — prychnął Kłos.

— Wypraszam sobie, moja propozycja była bezstronna!

— Ależ oczywiście, że bezstronna, bezinteresowna, bezalkoholowa...

Do stołu wrócili Mertel i Kortoń. Dyrektor kina usiadł, a nauczyciel przemówił stojąc:

— Panowie! Trygier i Ostrowski muszą być wśród wykupionych więźniów!... Jest to sprawa wyższej...

— Dlatego, że pan tak rozstrzygnął z panem Kortoniem?! — oburzył się Malewicz. — Nas tutaj wszystkich ma pan za nic, co?!

Hrabia teatralnie chrząknął, tak jak niegdyś chrząkał zwracając uwagę źle się zachowującym członkom rodu:



— Panowie, bardzo proszę, dyskutujmy w sposób kulturalny. Po co się unosić, czyż to...

Sedlak nie czekał aż gospodarz skończy reprimendę :

— Pan radca ma słuszość! Dziwna rzecz, iż pan Mertel, który jako zastępca dyrektora szkoły winien głosować na swego zwierzchnika, woli wykupić leśniczego...

— Bo kiedy pan dyrektor zostanie rozwalony, to pan zastępca zostanie panem dyrektorem... — mruknął zgryźliwie Bruś.

Mertel poczerwieniał i zrobił dwa kroki ku aptekarzowi, warcząc:

— Ty pieprzony pigularzu!!

— Panowie! — jęknął hrabia.

Purpurowy na twarzy Bruś odwrócił głowę ku Mertlowi i wycedził:

— Nie jesteśmy w stosunkach, które zezwalałyby panu zwracać się do mnie per „ty”, panie belfrze! Nie hodowałem z panem świń ani innych czworonogów!

— Panowie, czy możemy prowadzić cywilizowany dialog? — zapytał Krzyżanowski.

— Ależ tak — zgodził się Mertel. — Pod warunkiem, że nie będę musiał prowadzić dialogu z figurą, która mnie obraża!

— Nawet gdyby pan chciał, to by pan nie mógł za bardzo, bo cywilizowany dialog jest rodzajem sztuki, którą trzeba umieć — odszczeknął Bruś.

Mertel, miast wybuchnąć, roześmiał się, zbliżył jeszcze pół kroku w stronę aptekarza, i rzekł słodko:

— Umiałbym, umiałbym, panie magistrze. Tylko z panem nie mógłbym, bo nie umiem rozmawiać trzymając głowę odchyloną do tyłu...

— A po cóż miałby pan odchyłać ją do tyłu? — zdumiał się farmaceuta.

— Żeby patrzeć w górę. Nie lubię rozmawiać patrząc w górę, od tego kark boli — wyjaśnił Mertel, zdumiewając jeszcze bardziej Brusia, lekko już rozbrojonego.

— Ależ ja wcale nie posiadam wzrostu wielkoludów...

— Tak, lecz kuca pan na czubku palmy, i nie widać dużych szans, by mógł pan kiedykolwiek zejść z niej, panie magistrze!

Policzki Brusia, wcześniej purpurowe, zaczęły przybierać siny odcień fioletu. Zerwał się, stanął przed Mertlem i wysylabizował głosem pełnym nienawiści:



— Kiedy patrzę na pana, jestem gotów uwierzyć tym facetom w białych kitlach, którzy twierdzą, że przodkami ludzi były takie małe stworzenia podobne do ryjówek!

Mertel chwycił aptekarza za klapy marynarki, zwierając mu je pod brodą, raczej mocno, bo trzasnął jakiś szew świątecznego stroju. Bruś odpowiedział gwałtownym ciosem dolnej kończyny — metalowym kantem zelówki uderzył wierzch stopy agresora, co zwałiło syczącego z bólu Mertla na podłogę. Padając nie puścił Brusia, więc obaj runęli, by tarzać się wzorem rozszalałych podwórkowych łobuziaków, gryźć, drapać, pluć, rwać sobie włosy tudzież miotać przekleństwa.

— *„I stworzy l Pan Bóg człowieka na obraz i podobieństwo swoje”*... — rzucił Stańczak nie bez satysfakcji.

Ten cytat z Pisma Świętego „przebudził” kibiców, którzy wskutek gremialnego osłupienia, zbiorowego szoku, zostali tknięci swoistym letargiem, stanem paraliżu trwającego bardzo krótko. Przodownik Godlewski, Kortoń, Kłos, Bartnicki i Krzyżanowski skoczyli ku furiackim wojownikom, rozdzielając zmiętoszone ciała i odciągając je do przeciwległych krańców stołu. Mertel i Bruś przytomnieli wolno, dychając chrapliwie i patrząc zdziwionym wzrokiem na ściany oraz ludzi, jakby zostali przeniesieni tutaj z innego wymiaru rzeczywistości lub z nadrzeczywistości kosmicznej. Im bardziej przytomnieli — tym większy mieli we wzroku wstyd. Wicedyrektor szkoły otrzepał ubranie i ze spuszczoną głową siadł na swoim miejscu. Aptekarz wybiegł do toalety. Hanusz szepnął Malewiczowi, zakrywając usta dłonią:

— To dzisiejsze ciśnienie, bardzo niskie, zupełnie fatalne dla ciśnieniowców. Plus ta nalewka. Jest pyszna, lecz mocna jak bimber. Słyszałem o tym już dawno. A oni dwaj pili najwięcej, nie licząc pana przodownika.

— I pana filozofa — odszepnął Malewicz.

— Tak? Nie zauważyłem tego...

— A ja mu liczyłem kieliszki, widząc jak sobie dowcipkuje... Co zaś do ciśnienia, i co do picia przez naszych dwóch gladiatorów — to przecież alkohol pomaga ciśnieniowcom, tak się mówi.

— Nie zawsze i nie każdy alkohol. Dużo pewniejszym jest fakt, że od alkoholu dostaje się małpiego rozumu.

— To prawda, doktorze, ale ja widzę inny powód tego mordobicia. Nie tyle organiczny, ile historyczny.





- Historyczny?! — zdumiał się Hanusz.
- A owszem, historyczny. Czy wypisywał pan kiedyś receptę Mertlowi lub któremuś z familiantów Mertla?
- Nie jedną.
- I jak pan myśli, gdzie on te lekarstwa kupował ?
- Dziwne pytanie — w Rudniku jest tylko jeden skład apteczny...
- Mertel nigdy niczego nie kupił u Brusia, nie kupiłby tam nawet pigułki, która mogłaby uratować mu życie. Po wszystkie leki jeździ do Niska.
- Dawno się tak nienawidzą?
- Od trzydziestu kilku lat. Poszło o babę — nieboszczka Brusiova była wcześniej narzeczoną Mertla. Przez te trzydzieści parę wiosen obaj dżentelmeni nie zetknęli się ani razu w jednym pomieszczeniu, pierwszy raz dzisiaj. Pan nie jest stąd, pan tu przybył w trzydziestym szóstym...
- W trzydziestym siódmym.
- ...to pan tego wszystkiego nie wie. Ale każde rudnickie dziecko wie, że Brusiovie chodzili na mszę o dziewiątej, a Mertlowi o pierwszej, żeby się nie spotkać.
- Wszyscy interweniujący przy incydencie zajęli już swoje krzesła, lecz milczano, jakby nie chcąc kontynuować dyskusji bez farmaceuty, lub jakby pragnąc chwilowej kwarantanny, terapii ciszą. Bruś wrócił po kilku minutach, z odnowionym starannie przedziałkiem włosów, lecz ciągle z nadprutą kamizelką. Miał minę zbitego psa i wodził wzrokiem blisko sufitu, ponad głowami zebranych. Kiedy usiadł i kiedy oczekiwano, że dyskusję wznowi hrabia lub jego przyjaciel, mecenas Krzyżanowski — głos niespodziewanie zabrał stróż publicznego ładu:
- Panowie... ja... tego, no... Ja proszę, żeby to się już nie powtórzyło. Bo inaczej...
- Bo inaczej on wyjmie pałę i każe się nam rozejść — dokończył Sedlak.
- Ma wprawę, często tłumiał pałą demonstracje proletariatu.
- Nielegalne zgromadzenia lumpów lewicowych, pchanych na ulice przez czerwonych agitatorów, przez probolszewickie jaczejki! — zdementował wersję Sedlaka Kortoń.
- Kłamstwo! — oburzył się Sedlak. — To były spontaniczne manifestacje ludu rozpędzane przez pałkarzy — przez prawicowych bojówkarzy, czyli przez faszystów, i przez granatowych policjantów!
- Taki był rozkaz, panie naczelniku, dyspozycja władzy zwierzchniej, więc szkoda słów, rozkaz to rozkaz! — stwierdził Godlewski. — Likwidowało



się tylko nielegalne marsze, burdy, zamieszki, różne fiksacje tłumu. Legalnych nie tylko nie pędziliśmy, ale nawet je ochranialiśmy jak był taki rozkaz. Policja to policja, musi słuchać rozkazów. Władza rozkazuje, policja wykonuje. Ale tutaj... no, tutaj to ja nie chcę być policjantem, panowie. Lecz jeśli...

— Dyskutantem też pan nie jest, panie przodowniku — zauważył filozof.  
— Tylko ksiądz proboszcz i pan nie wzięliście dotąd udziału w dyskusji. Napoleon miał rację — habit i mundur bez słów się rozumieją...

— Ja również nie brałem udziału w dyskusji, panie profesorze — przypomniał Hanusz.

— Ależ brał pan! Pańska cenna wypowiedź na temat klimatyzacyjnych walorów alkoholu... Przyznaję, że wzięłem sobie tę diagnozę głęboko do serca, czy raczej do trzustki.

— Ta wypowiedź nie miała nic wspólnego z dyskusją o wykupieniu ludzi aresztowanych przez gestapowca.

— Pana to brzydzi, doktorze? Układanie się z Gestapo? Jeszcze raz przypomina mi się cesarz Napoleon, który rzekł: „*Honor wyklucza zawieranie i nim kompromisów*”. Czy o to chodzi?

— Nie, nie o to.

— Więc cóż pana powstrzymywało, drogi medyku?

— Strach. Zwyczajny strach. Przewidziałem zarzuty, jakie tu już padły. Jeśli poprę wykupienie mojego zwierzchnika, profesora Stasinki, wyjdzie na to, że agituję sitwiarsko, dla kumpla. A gdy opowiem się za kimś innym — to usłyszę, że czyham na dyrektorski fotel w moim szpitalu. Wolę więc nie gadać, i wybieram losowanie.

— Ja też wybieram losowanie! — ucieszył się Bartnicki. — Zaś pan profesor... pan profesor tak dokładnie liczył kto brał udział w dyskusji, jednak sam... A pan to co, panie profesorze?

— Przecież cały czas biorę udział w waszym paplaniu!... Niech wam będzie — w dyskutowaniu.

— Trele-morele! Niby brał pan udział w dyskusji, lecz rzucając same wice do śmichu, nic ponadto. Nie wysunął pan żadnego kandydata...

— Bo mojego kandydata Müller jeszcze nie aresztował, przyjacielu.

— Panowie!... — przerwał tę wymianę zdań Krzyżanowski. — ... Musimy wreszcie coś zadecydować. Więc jak, losowanie? Czy wszyscy się zgadzają?...

— Veto! — huknął Kortoń, bijąc pięścią w stół. — Wśród wykupionych muszą być panowie Trygier i Ostrowski!

— Ponieważ tak ustalili panowie Mertel i Kortoń! — parsknął Sedlak.



— Dlaczego muszą? — spytał Hanusz, mimo że się domyślał, jak wszyscy obecni.

— Bo toczy się wojna! Toczy się walka! I ta walka z okupantem jest teraz główną sprawą dla narodu! Tylko tyle mogę powiedzieć, i tak już powiedziałem zbyt dużo.

Zapanowała cisza. Przypalono nowe papierosy. Słysząc było muchy brzęczące wokół stołu. Mecenas Krzyżanowski wytarł chustką nos pełen kataru alergicznego, a profesor nabił sobie fajkę tytoniem aromatycznym. Radca Malewicz szepnął głośno:

— Więc to tak...

Czym ośmielił naczelnika poczty:

— No to mamy jasność, panowie!... — zagrział Sedlak.

— Jasność? — zdziwił się Krzyżanowski.

— A pan ma wątpliwości? — spytał Malewicz.

— No, nie wiem...

— Czego pan nie wie, mecenasie? — docisnął Sedlak. — Przecież to jest proste jak dwa razy dwa. Mamy jasność, że jeśli się nie zgodzimy na Trygiera i Ostrowskiego, to możemy zostać ukarani wyrokiem jakiegoś podziemnego lub leśnego sądu...

— I kto to mówi! — próbował kontratakować dyrektor kina, lecz z drugiego boku uderzył nań Malewicz:

— Określmy rzecz bez eufemizmów — sądu kapturowego! To jest szantaż, a właściwie gorzej niż zwykły szantaż — to jest straszenie, to jest terror, i ja protestuję!

Mertel, który po bójkę z Brusiem siedział zgaszony bo zawstydzony, nie wytrzymał dłużej i ożył niby piorun:

— Czy pan wie, co pan mówi, panie radco?! Czy pan jest Polakiem, czy renegatem, któremu wszystko jedno jaki porządek będzie panował na tej ziemi, szwabski czy polski?!... Cholera jasna — jeśli ludzie, którzy już kilka lat ryzykują własną głową i życiem swoich najbliższych, żeby Polska odzyskała niepodległość, są dla pana warci tyle samo, co każdy, kto próbuje po prostu przeczekać wojnę i robi wszystko, byle tylko nie narazić się okupantowi...

— Panie Mertel, taką szkolną frazeologię to niech pan zostawi dla swoich uczniów! — przerwał mu Malewicz. — Tej wojny nie wygrywa partyzantka, lecz Sowietci i Alianci, którzy piorą Niemców efektywnie. A to, co wy robicie, twierdząc, że robicie to dla wolności i godności narodu, owocuje tylko śmiercią wielu niewinnych ludzi!



— Nieprawda! — wrzasnął Kortoń.

— Nieprawda?... Wobec tego co my tu robimy dzisiaj, mój panie?! Kłócimy się o to, kogo można uratować spośród ludzi, których Gestapo aresztowało i skazało tylko dlatego, że oddział AK lub NSZ zabił paru Niemców! Tych paru zabitych Niemców nie ma żadnego znaczenia dla losów wojny — wyłącznym skutkiem jest hekatomba Polaków...

— Nieprawda, nieprawda, nieprawda!!! Skutkiem wczorajszej akcji było wykolejenie pociągu, szwabskiego pociągu wiozącego broń, amunicję i wojsko na front! Czyli osłabienie siły militarnej Niemców! Ruch na tej trasie został wstrzymany...

— Już go przywrócono — poinformował Godlewski. — Szwaby ściągnęły do rowu dwa złomiaste wagony i naprawiły tor w kilka godzin.

— Otóż to! — triumfował Malewicz. — Prawdziwym skutkiem jest hekatomba najwartościowszych Polaków, którzy bardzo przydaliby się Polsce, kiedy już będzie wolna!

— A pańskim zdaniem, panie radco, będzie wolna jeśli wszyscy będziemy się brzydzili zabijaniem Szwabów?

— Daruj pan sobie takie chwytły, panie Mertel! Idź pan z nimi na konkurs demagogów lub gdziekolwiek bądź, a tu nie szukaj pan głupich.

Mertla zatkało, zaś fizjonomia Kortonia przybrała wyraz głębokiej rozpacz:

— Dlaczego pan nie rozumie, że trzeba okupantowi pokazać, iż...

— Dlatego, panie Kortoń, że z matematyki byłem w szkole lepszy niż pan! Stąd wiem, że jak za jednego rozwalonego folksdojca lub szeregowca Wehrmachtu płaci głowami dziesięciu Polaków lub więcej, nierzadko znaczących Polaków — to jest to kiepski rachunek, proszę pana, a można nawet powiedzieć, że jest to rachunek kompletnie do dupy! Tak mi wyszło z obliczeń, proszę bohaterskich kolegów!

— Pańskim zdaniem — gdyby nie było żadnego oporu, to wszystko byłoby cacy, tak?! — zapienił się Mertel. — Szkopy nikogo by nie zabijały, nie wywoziłyby do łagrów, życie w Generalnej Guberni byłoby słodkie i przyjemne? Czy pan nie widzi co Niemcy z nami robią od czterech lat?! Człowieku!!

Radca machnął dłonią, jakby chciał przegonić chmurę dymu falującą między sufitem a blatem.

— Widzę jedno... Że byłoby znacznie mniej ofiar, gdyby...



— Gdyby wszyscy rodacy nadstawili Szkopom tyłek posmarowany wazeliną!

— Pan wygrałby te zawody demagogów, panie Mertel...

Mertla znowu wspomógł Kortoń:

— Spójrz pan, panie radco, na Żydów! Czy bronili się, czy robili zamachy, czy może rozwalali esesmanów? Nie! Byli grzeczni i potulni. Co im to dało?...

— Racja! — przytaknął Kłos. — Pomogło im to jak kadzidło umarłemu!

Malewicz nie dał się przekonać:

— Żydzi to zupełnie inna sprawa, Szwaby mordują ich z przyczyn rasowych, panowie dobrze o tym wiecie!

— A nas mordują dla sportu, tak?... — spytał Kortoń. — No bo przecież nas też mordują bez ustanku! Nas też uważają za podludzi, takich trochę lepszych podludzi, więc Żydom dali pierwszeństwo na drodze do piachu, a my jesteśmy w tej kolejce na trzecim miejscu, bo między nami a Żydami są jeszcze Cyganie. Może nie mam racji?

— O ile wiem, to nie tylko Szwaby uważają Żydów za rasę gorszą... — stwierdził Sedlak, świdrując Kortonia znaczącym wzrokiem.

— Pan do mnie pije, panie naczelniku?!

— A do kogo? Trudno zapomnieć waszą endecką prasę, wszystkie te artykuły, te antysemickie dowcipasy rysunkowe waszych karykaturzystów, te...

— Panu chyba trudno zapomnieć to, co sam pan wymyślił! Narodowa Demokracja nigdy nie posługiwała się obłąkaną argumentacją rasową i nigdy...

— I nigdy Dmowski nie napisał słowa przeciwko Żydostwu!

— Dmowski nigdy nie propagował ludobójstwa, Narodowa Demokracja nigdy tego nie robiła! Zwalczaliśmy tylko żydowską hegemonię w kulturze i gospodarce kraju, więc proszę się liczyć ze słowami!

— Ale się okropnie wystraszyłem! Już biorę liczydło! — prychnął Sedlak.

Zdegustowany bójką Stańczak, który potrzebował trochę czasu, by wrócić mu ochota mielenia językiem (a może nawet przez chwilę drzemał) — wreszcie przypomniał się dyskutantom:

— Najchętniej jako Polacy liczyliśmy się ze słowami tego „*rudego litewskiego Żyda*”, co ułożył „**Pana Tadeusza**”, i tego Żydofila, co został pierwszym marszałkiem Polski i ożenił się z Żydówką.

— Pierwszym naszym marszałkiem był książę Poniatowski, a nie „*Dziadek*” Piłsudski — zauważył erudycyjnie Bruś, przełamując wreszcie blokadę psychiczną będącą efektem tarzania się na ziemi z Mertlem.



— Książę Pepi został marszałkiem Francji, drogi kolego — pouczył go doktor Hanusz.

— No... ale przecież był Polakiem...

— Z całą pewnością — przytaknął aptekarzowi Stańczak. — Był Polakiem w dużo większym stopniu niż największy polski snycerz, największy polski kompozytor, największy polski...

— Jako największy polski trefniś, prawdziwy spadkobierca Zagłoby, jest pan, panie profesorze, dwustuprocentowym Sarmatą, ale to nie czas na pogaduszki! — interweniował mecenas zmobilizowany wzrokiem hrabiego. — Wróćmy do tematu, panowie...

— A do którego wątku? — zapytał Kłos. — Była mowa o aresztantach, o Żydach, o Cyganach, o niezapomnianej przez pana naczelnika prasie endeków...

— Ja pamiętam też czerwone szmatławce, które z pewnością stanowiły ulubioną lekturę pana Sedlaka! — huknął Mertel.

— Lewicowa prasa nie atakowała Żydów! — wygłosił twardo Sedlak.

— Zgadza się, nie atakowała swoich wydawców, redaktorów, klientów i czytelników. Atakowała Polaków i próbowała oduczyć polską młodzież patriotyzmu!

— Bzdury! Atakowała szowinizm i ksenofobię ciemnogrodu, panie Mertel! Propagowała zasady społecznej sprawiedliwości, równości, godności proletariuszy...

— Długo będzie nam pan cytował te pierdoły, te frazesy z wypocin Marksa i Engelsa, panie naczelniku? — spytał Kortoń. — Tu nie narada sztabowa bolszewickiej jacejki...

Sedlaka ogarnęła furia. Ryknął;

— Jakim prawem? !!...

— Prawem, a nie lewem, towarzyszu! Sedlak spojrzał wokoło i jęknął, choć głosem wciąż agresywnym;

— Panowie, ja nie jestem komunistą!

— A ja nie jestem hedonistą i fajczarzem — zadeklarował Stańczak, rozsiewając dookoła swej głowy kłęby wonnego dymu.

— Ale ja naprawdę nie jestem komunistą, panowie! I nigdy nie byłem komunistą!

— Zupełnie tak samo, jak towarzysze Trocki, Stalin i Lenin — rzekł Mertel. — Oni też mieli komunizm głęboko w tyłku, chodziło im tylko o władzuchnę, czyli o szmal, ale w gębie mieli pełno komunizmu, czyli



„sprawiedliwości społecznej”, „wspólnej własności środków produkcji”, „praw proletariackich” i „wyzysku ludu pracującego”.

— Panowie, dajcie panu naczelnikowi święty spokój — zainterweniował Stańczak. — On rzeczywiście nie jest komunistą.

— Więc dlaczego kłapie dziobem jak czerwony? — spytał Mertel.

— Ponieważ jest marksistą, czyli adeptem kultu Marksa. Wybrał sobie bożka o dużym stopniu kalectwa umysłowego, lecz nawet wielcy bogowie starożytnej Grecji nie byli bez wad i bez grzechów. Taki Zeus...

— Co pan ma przeciwko Marksowi, panie profesorze? — spytał Sedlak.

— Co mam przeciw Marksowi? Jego złe podejście do mnie, ergo do człowieka, panie naczelniku.

— Złe podejście do człowieka? Czy pan oszalał?! Marksistowska koncepcja człowieka...

— To koncepcja jednowymiarowa, uboga jak zupa z brukwi — przerwał Sedlakowi profesor. — Pozbawiona wyobraźni, mitologii czy choćby właśnie ożywczego szaleństwa. Dla Marksa człowiek to nieskomplikowany „*homo faber*”, robociarz, producent bez życia wewnętrznego, tyle, że siłacz zdolny obalać bogów. Dużo trafniej widzieli człowieka Montaigne, Szekspir czy Pascal, wedle których „*homo sapiens*” to „*homo demens*”, szaleniec i kuglarz, istota wieloraka, złożona, nosząca pod czaszką cały kosmos snów, fantazmatów i marzeń.

— I duszę — dodał Hawryłko. — Duszę pełną Boga, gdyż stworzoną przez Boga.

— Raczej pełną Biblii, drogi księżulu — skorygował profesor. — Biblii tak bardzo bliskiej „**Kapilatowi**” i teoriom komunizmu, a zarazem jak dalekiej, jak im wrogiej. Wrzuć człowieka do kałuży i głoś mu, by poprzestał na tym miejscu gdzie umieściła go Opatrzność — a udowodnisz, że jesteś wyznawcą porządku biblijnego, nie zaś walki klas. Summa summarum — gdy spojrzymy...

— Nie chce być złośliwy, panie profesorze, zresztą nie umiałbym być równie złośliwy co pan — wtrącił Hanusz — jednak pragnę spytać: kogo pan bardziej lekceważy, Boga czy Marksa?

— Więc zauważył pan, doktorku, jak są podobni? Te imponujące brody, niby srebrne cokoły fizjonomii proroków!... Odpowiem panu — Boga nie lekceważę, chociaż mam wobec Niego stosunek inny zupełnie aniżeli ci wszyscy, co biegają do kościoła licząc na Niebo po znajomości.



— Gadaj pan zdrów, profesorze, nie zrazisz wierzących! — obruszył się Kortoń. — Nie po to chodzimy klękać u stóp krucyfiksów.

— A po co?! — zdziwił się Sedlak. — Po uzyskanie odpuszczenia za zabójstwo prezydenta Narutowicza, panowie endecy?

Kortoń zerwał się, mając kulaki ściśnięte i mord we wzroku, lecz tym razem nie Krzyżanowski czy Godlewski, lecz sam hrabia przerwał scysję, mówiąc grzmiącym głosem feudała:

— Dostyc, panowie! Dostyc tych awantur, nie chcę tu już widzieć żadnych bijatyk! Również bijatyk partyjnych na słowa, bo zebraliśmy się w zupełnie innym celu. Przypominam, że mamy ustalić kto zostanie wykupiony z rąk Gestapo.

Mertel przypomniał swoje:

— Mamy też obowiązek patriotyczny! Powtarzam: panowie Trygier i Ostrowski muszą być wykupieni dla... dla racji wyższych, ogólnonarodowych, nie waham się rzec: w imię racji stanu. Myślę, że wszyscy tu obecni, może za wyjątkiem pana poczmistrza, dobrze to rozumieją...

— Nie wszyscy, panie Mertel — rzekł Malewicz.

— Ja również nie — dodał Hanusz.

— A jeśli idzie o propozycje — kontynuował radca — to sędzę, że wśród wykupionych winni być: dyrektor Kuźmicz, burmistrz Wencel, no i profesor Stasinka z całą pewnością.

— Popieram te kandydatury, proszę panów — ogłosił Sedlak. — Kuźmicz koniecznie!

— Tak więc... — chciał finalizować dysputę Krzyżanowski.

— I koniecznie pan sędzia Iwicki! — zawołał aptekarz.

Mertla ogarnęła pasja:

— No to pięknie! Już mamy czterech: Kuźmicza, Wencła, Stasinę, Iwickiego, czyli bez Trygiera i Ostrowskiego! Do ciężkiej cholery — dla tych dwóch miejsce musi być! Ludzie, czy wy nie rozumiecie, że...

— Panowie, tak można się klócić przez kilka dób! — wyhamował Mertla redaktor Kłos. — Rozstrzygnijmy głosowaniem, niech zadecyduje większość zebranych.

— Racja! — krzyknął naczelnik urzędu pocztowego.

— Owszem, to bardzo słuszna propozycja — przyłączył się jubiler.

— Też tak uważam — zgodził się policjant.

— A dlaczego większość? — spytał dyrektor sali kinowej.

Mertel powtórzył pytanie, jakby był echem Kortonia:





- Właśnie, czemu większość, proszę panów?
- Dlatego, że większość to więcej niż mniejszość — wyjaśnił mu Bartnicki.
- Tylko z matematycznego punktu widzenia.
- Również z demokratycznego — poprawił Kłos. — Na większości zasadza się każda demokracja.
- A ochłokracja to nie? — spytał profesor, uśmiechając się kpiarsko.
- Mówię o prawdziwej demokracji!
- Tak? I co pan uważa za prawdziwą demokrację?
- Wolny wybór, profesorze, wolny wybór.
- Czyli jaki?
- Taki, który jest nieprzymuszoną demonstracją wielu ludzi myślących identycznie. A więc głosujących tak samo.
- Stańczak pokiwał głową ze zrozumieniem:
- Jasne! Jeżeli duża liczba wierzących w to samo stanowi argument, wtedy łatwo dojść do wniosku; żryjmy gówna, przecież miliony much nie mogą się mylić!
- Pan znowu żartuje, panie profesorze! — westchnął Kłos. — Ma pan coś serio przeciwko demokracji?
- Niewiele, kochany redaktorka Tylko to, że w demokracji głosy ludzi wykształconych, ludzi rozsądnych i ludzi uczciwych liczą się tak samo jak głosy analfabetów, łotrów i prostytutek. A ponieważ w każdym państwie jest więcej głupków, szubrawców i kobiet źle się prowadzących niż ludzi rozumnych i prawych — to trzeba przyznać, że demokracja nie jest bezbłędna jeśli patrzeć na nią od strony wyborczych urn.
- Duży ścienny zegar wybił godzinę, detonując kolejną interwencję mecenasa Krzyżanowskiego:
- Panie profesorze, pańskie spekulacje, sofizmaty i bon-moty są zachwycające, tylko myślę, że w naszej sytuacji są one stratą czasu. Brak czasu na takie popisy, gdy chodzi o ludzkie życie! Jestem za propozycją pana redaktora, niech decyduje większość.
- Racja, panowie, racja! — ożywił się przodownik Godlewski. — Nie widzę przy tym stole prostytutek i analfabetów. Pan redaktor, mówiąc o wyborze, mówił o wyborze dokonywanym przez ludzi pierwszorzędnych... znaczy solidnych, prawda?
- Tak, panie przodowniku. Mówiłem o wyborze, który jest demokracją, gdzie światła większość przesądza, a mniejszość...



— Mniejszość ciemna? — wszedł Kłosowi w słowo zdziwiony ksiądz Hawryłko.

— ... a mniejszość musi się podporządkować temu wyborowi.

— Doskonale — zawyrokował mecenas. — Głosujmy kolejno. Może najpierw przegłosujmy lub odrzucimy kandydaturę pana dyrektora Kuźmicza, a później...

— Nie! — sprzeciwił się Mertel. — Zacznijmy od tego: kto jest przeciwko Trygierowi i Ostrowskiemu?.. Kto jest przeciwny wykupieniu panów Trygiera i Ostrowskiego — niech podniesie rękę do góry!

Milczenie, które teraz zapanowało, było najgłębszym z dotychczasowych milczeń przy tym stole. Nawet pałacy przestali się zaciągać. Pod inkwizytorskim spojrzeniem Mertla i Kortonia niektórzy spuszczały wzrok. Unoszący się nad blatem wonny aromat filozoficznej fajki tłumiał nikotynowy opar cygaretek i papierosów, lecz nie łagodził stresu grona skamieniałego jak pod dotknięciem czarnoksiężskiej różdżki. Od ogrodu słychać było szum konarów targanych wzmagającą się wichurą. Ciemniało — gęstniejące szarości malowały świat. Profesor pierwszy zakłócił tę grobową atmosferę:

— Gratulacje dla panów partyzantów! Doprawdy, panowie — genialny chwyt!

To ośmieliło aptekarza:

— Nie genialny, tylko bandycki, mający na celu zastraszenie wszystkich tu siedzących!

— Pan Bruś ma całkowitą słusność, to skandaliczne! — krzyknął Sedlak. — Panowie, nie pozwólmy się tym ludziom zastraszyć!

— Czekamy, aż pan da nam przykład, panie naczelniku — mruknął cierpko Krzyżanowski.

— Jaki przykład?

— No... że podniesie pan rękę.

— Proszę bardzo, mogę podnieść dłoń, lecz co to da jeśli nie podniosą inni? Zresztą nawet gdybym podniósł, to by wcale nie znaczyło, że jestem przeciwko wykupywaniu kogoś. Ja tylko jestem przeciwko takiej metodzie głosowania!

— Słusznie — rzekł Malewicz — nie powinniśmy głosować przeciwko komukolwiek. Powinniśmy głosować wyłącznie za, proszę panów.

— Jak to?... — zdziwił się Godlewski. — Za wszystkimi?... Przecież... przecież możemy wybrać tylko trzech...

— I wybierzemy trzech, panie przodowniku. Będziemy głosować kolejno za każdym z dziesięciu aresztowanych...



- Z dziewięciu aresztowanych! — przypomniał Krzyżanowski.
- Tak, rzeczywiście, z dziewięciu. Ci, którzy otrzymają największą liczbę głosów, zostaną wykupieni przez pana Tarłowskiego.
- A jeśli niektórzy otrzymają równą liczbę głosów? — spytał jubiler.
- Gdyby tak się stało, to wówczas będziemy losować jednego z nich — zaproponował Kłos.
- A jak będziemy głosować? — nie ustępował Bartnicki.
- No cóż, najłatwiej byłoby przez podniesienie rąk...
- Ale nie najzręczniejsz, nie najzręczniejsz, proszę kolegów — rzekł radca.
- Dlaczego nie najzręczniejsz? — spytał Godlewski.
- Bo to byłoby głosowanie jawne, panie przodowniku — wyjaśnił mu radca. — A głosowania jawne czasami bywają krępujące.
- I do tego jest nas trzynastu, pechowa liczba, panowie — dodał Bruś.
- Nie będzie głosowało trzynastu — szepnął ksiądz Hawryłko. — Ja nie będę głosował.
- Dlaczego, proszę księdza? — spytał Godlewski.
- Bo mnie nie wolno, synu.
- Ale dlaczego?!
- Dlatego, że kapłan może być sędzią tylko w konfesjonale.
- A w trybunale to nie?!... — rozjzgotął się filozof, uradowany, że podsunęto mu kolejną tarczę do ostrzału. — Pała z historii Kościoła, i z bieżącej rzeczywistości Kościoła, księżulu!
- W jakim znowu trybunale? — zniecierpliwiał się Hawryłko.
- Inkwizycyjnym, bratku!... Co, zapomnieliśmy o Świętym Oficjum, proszę księdza? I o „*psach Pana Boga*”, braciszkach Dominikanach? Nic mi nie wiadomo, by Święty Trybunał uległ likwidacji, ale jeśli się mylę — proszę mnie oświecić...
- Trybunał kościelny to specyficzny przypadek... — próbował bronić się ksiądz.
- Ale gronem sędziowskim jest tam grono kapłanów. Zatem nie jest prawdą, że kapłan może sądzić tylko w konfesjonale. Ksiądz nas okłamał, a kłamstwo to grzech — będzie ksiądz musiał teraz klęknąć z drugiej strony konfesjonału, prosić o pokutę, et cetera.
- Mylisz się, człowieku. Święte Oficjum wyrokuje tylko w sprawach dogmatycznych, w sprawach wiary. Kapłan nie może być sędzią w sprawie świeckiej.



— Gdy ksiądz skazuje prostytutkę lub cudzołożnicę na zdrowaśki — to nie jest wyrokowanie w sprawie świeckiej?

— Jest, ale tylko konfesjonał daje mi takie prawo.

— Drogi księżulu... — chciał się dalej przekomarzać filozof, lecz Hawryłko uniemożliwił ten zamiar:

— Nic z tego, nie zmienicie mojej decyzji, panowie. Nie będę głosował!

— Ja również nie będę głosował! — poinformował z ulgą Bartnicki.

— Czy to znaczy, że pan może być sędzią tylko w kantorze jubilerskim? — ukłął Bartnickiego Stańczak. — Taksując bliźnich, którzy przynieśli panu obrączkę ślubną do spieniężenia na chleb dla dzieci lub na kęs alkoholu?

— Daj pan spokój, panie profesorze!

— Jeśli wszyscy, wymawiając się sutanną lub inną przeszkodą, zażądają, by dać im spokój, to nie zwojujemy niczego i Müller zabije dziesięciu ludzi! — ostrzegł doktor Hanusz.

Krzyżanowski kilkakrotnie trącił widelcem kieliszek, uciszając gwar.

— Panowie, myślę, że wszelkie obawy może rozwiązać głosowanie w innym trybie — tajne zamiast jawnego. Każdy dostanie papier i wypisze trzy nazwiska. Albo nie wypisze — nie ma przy musu. Kto jest przeciw tej propozycji, niech uniesie dłoń.

Dłoni nikt nie uniósł, nawet ksiądz Hawryłko, choć niektórzy liczyli, że to zrobi.

— W porządku, procedura zadecydowana! Rozbrzmiał dzwonek hrabiego i zjawił się kamerdyner.

— Łukasz, przynieś papeterię oraz kilka zatemperowanych ołówków.

— Dobrze, panie hrabio. Ale bigos już gotowy, Rozalka chce podawać...

— Poda za kilkanaście minut. Wpierw ty podasz papeterię i ołówki. Na jednej nodze!

— Już się robi, panie hrabio.



# **Akt IV**



Bigos zjedzono przy palących się żarówkach. Na dworze królowała już ciemność. Silny wiatr zapowiadaj burzę od paru godzin, ale burza się nie spieszyła, nie było nawet deszczu. Gdy stół został uprzątnięty, gdy czyste popielniczki i pełne karafki zawładnęły blatem — hrabia wykorzystał sposób mecenasa Krzyżanowskiego, pukając w szkło oczkiem sygnetu, by zgasić gwar. A kiedy zapadła cisza — odezwał się głosem trochę niepewnym, bojaźliwym, chwilami łamiącym się, lecz nie histeryzujące:

— Panowie... Panowie, winienem... winienem teraz przejść do najtrudniejszej części propozycji Müllera... to znaczy żądania Müllera... Bo ta decyzja, którą... którą właśnie podjęliśmy w sprawie trzech... w sprawie czterech zakładników... to połowa decyzji... A nawet nie połowa — to jedynie wstęp do sprawy dużo trudniejszej...

Po raz kolejny grobowa cisza owładnęła salą. Słysząc było tylko alergiczny katar Krzyżanowskiego, gdyż mecenas nie mógł oddychać bez lekkiego świstu. Razem z dymem rozprzestrzenił się wokół głów strach — przecucie kataklizmu zaszczerpione tonem gospodarza. Bruś odezwał się pierwszy:

— Więc to jeszcze nie koniec?...

— Coś mi wygląda na to, że dopiero początek! — sapnął Malewicz.

Hanusz wbił się wzrokiem w twarz Tarłowskiego:

— Panie hrabio... — Tak?

— ... Panie hrabio, pan nam powiedział, że Müller chce wziąć pieniądze za czterech zakładników!

— On żąda nie tylko pieniędzy... Twierdzi, że musi mieć dziesięciu zakładników...

— Że musi rozstrzelać dziesięciu zakładników, czy tak? — spytał Kłos.

— No... jeśli winowajcy... jeśli sprawcy wysadzenia pociągu nie zgłoszą się sami do jutra rana...

— Wiemy, iż się nie zgłoszą! — przypomniał Malewicz. — ... Zatem gdy wykupimy czterech aresztowanych, Müller aresztuje czterech innych ludzi, żeby bilans się zgadzał. Dobrze mówię, panie hrabio?

— Tak, dobrze.

Kolejną fazę śmiertelnej ciszy przerwał bolesny głos księdza:

— A wam się wydawało, że uratowaliście cztery żywoty...

Tarnowskiego paraliżował strach, lecz nie mógł czekać dłużej.

— Najgorsze jest to, proszę panów, że Müller żąda, by mu wskazać tych czterech!

— Co?!!!



Ów chóralny krzyk wydało kilka gardeł, ale przodownik Godlewski jeszcze nie rozumiał:

— Nie rozumiem, panie hrabio. No... przecież właśnie wybraliśmy tych czterech i wskażemy ich...

Hrabiego uprzedził Krzyżanowski, tłumacząc Godlewskiemu:

— Panie przodowniku — Muller zażądał, by oprócz czterech do wykupienia wskazać również czterech do aresztowania.

— Do zamiany! — pomógł Bruś.

— Czyli do rozstrzelania! — spuentował Malewicz.

— I pan przyjął to żądanie, panie hrabio? — zdziwił się Hanusz.

— Ja tylko wysłuchałem Müllera, natomiast przyjąć lub odrzucić to żądanie musimy razem, tutaj i teraz, proszę panów.

— A jeśli odrzucimy?

— Wówczas nie dojdzie do transakcji, cała sprawa upadnie, bo ten drugi wymóg Müller postawił jako warunek sine qua non.

Malewicz klepnął się dłonią w kolano, niby człowiek rozbawiony świetnym żartem.

— Więc to dlatego... dlatego spotkał nas zaszczyt siedzenia przy rodzowym stole Tarłowskich hrabiów! Chce pan, panie hrabio, uczynić odpowiedzialność za zbrodnię odpowiedzialnością zbiorową, przerzucić ją na nasze sumienia!

— Rzeczywiście, panie radco — przyznał Tarłowski. — Na was i na mnie. Sam nie mógłbym tej decyzji podjąć.

— Takiej decyzji nikomu nie wolno podejmować, bracia! — zagrział Hawryłko, piorunując hrabiego wzrokiem.

Kilka osób (Malewicz, Hanusz, Bruś i Sedlak) przytaknęło księdzu, kiwając głowami. Lecz wstał tylko doktor. Odsunął krzesło gwałtownie, aż zaskrzypiały klepki pawimentu, i wycedził nienaganną francuszczyzną:

— Merci bien, monsieur le comte! Je ne veux pas participer!\*

I ruszył ku drzwiom bez pożegnania. Ośmielony przez Hanusza Bruś wstał także, mówiąc:

— Pan chyba sfiksował, panie hrabio, sądząc, że weźmiemy udział w tym... w tym zabijaniu! Ja również powiadam: pas! Nie akceptuję tej brudnej gry!

Będącego już blisko drzwi Hanusza dogonił zjadliwy głos Mertla:

— Mes felicitations, cher docteur!... Oh, pardonnez moi — cher directeur!\*\*

Hanusz odwrócił się zdziwiony.

\* Wielkie dzięki, panie hrabio! Nie mam zamiaru w tym uczestniczyć!

\*\* Moje gratulacje, drogi doktorze!... Oh, przepraszam — drogi dyrektorze!



— Pan mówi do mnie?

— Najwyraźniej tak, bo tylko pan wśród nas jest lekarzem, cher docteur. A mówię po francusku, bo pan tak ładnie się odezwał tym językiem ludzi kulturalnych. Jeszcze raz: mes felicitations, monsieur le directeur!\*

— O co panu chodzi?!

— Zdziwiałe!... Mówi pan tak dobrze po francusku, a nie zrozumiał pan prostego wyrażenia? Złożyłem panu gratulacje, panie dyrektorze szpitala miejskiego!

— Nie jestem dyrektorem, panie Mertel!

— Dziękuję pana od tego tylko cztery kroki. W momencie, kiedy pan przestąpi próg i opuści nas, nie chcąc brukać swego sumienia — zatwierdzi pan wyrok na profesora Stasinę, którego przecież mamy wykupić.

Hanusz przyłożył sobie dłoń do czoła, jakby pragnął sprawdzić temperaturę, i szepnął:

— A nie mówiłem?... Przewidziałem ten zarzut...

— Tak, mówił pan już o tym, i to bardzo rozczulająco, nieomal się popłakałem ze wzruszenia! — ciągnął bezlitośnie Mertel. — Czy teraz będę musiał zapłakać nad pańską niewdzięcznością wobec przełożonego, panie Hanusz? Czy pan wie co pan robi? Czy to ma być takie nieskomplikowane — profesor Stasinka idzie pod mur, a zastępca profesora obejmuje jego fotel, jego gażę, cały jego urząd? Ca m'est bien egal\*\*, lecz...

— Jak pan śmie tak mówić?! To podłość, panie Mertel!... Zresztą moja absencja nie zmieni wyniku głosowania.

— Pańska absencja, doktorze — wsparł Mertla Kortoń — zarazi innych nadwrażliwców i spowoduje sekwencję uchylania się od odpowiedzialności dla jakichś prywatnych kalkulacji. Kiedy pan wyjdzie — wyjdzie jeszcze kilku, których już parzą te krzesła, mógłbym ich wskazać bez trudu. I wtedy cała inicjatywa runie, nie uratujemy nikogo.

— Ale i nie zabijemy nikogo! — stwierdził Bruś.

— Przeciwnie, zabijemy najwartościowszych, bo nie wydrzemy ich z rąk Gestapo, mimo że los dał nam taką szansę!

— Tylko że jak komuś los daje obok szansę awansu... Cóż, stołek dyrektorski to stołek dyrektorski... — wycedził Mertel, dziurawiąc wzrokiem Hanusza.

\* ... moje gratulacje, panie dyrektorze!

\*\* Dla mnie to wszystko jedno...





— Na miłość Boską, ja nie dlatego! — zaperzył się Hanusz. — Ja po prostu uważam, że... że nie powinniśmy...

— Pan po prostu uważa tak samo, jak pan magister Bruś — że panu nie wypada uświnić sobie rączek! — strzelił do lekarza Kortoń. — Że pan nie będzie się bawił w kata! Bo pan jest taki przyzwoity...

— Staram się, panie Kortoń, czego po panu nie widać! — odwinął Hanusz. — Staram się być przyzwoity!

— Pewnie! Tak samo przyzwoity, jak szanowny pan poczmistrz, który żyje tylko dlatego, że kilka lat temu profesor Stasinka operował mu flaki, wyciągając z grobu skalpelem! A teraz pan Sedlak, przy pańskiej pomocy, i może przy pomocy innych wrażliwych, wyśle profesora Stasinę do grobu, i w ten sposób podziękuje mu za uratowanie życia.

Sedlak nie przejął się tą złośliwością, skwitował ją partyjnie:

— Endecy bredzą z natury rzeczy, ale pan, panie Kortoń, wykazuje zdumiewające kalectwo umysłu nawet jak na endeka!

— To wariat! — uzupełnił Bruś.

— Pan też jest czerwony? — zapytał Brusia Kortoń.

— Nie, tylko normalny. A pan chyba naprawdę zwariował! Pana trzeba by przezwąć świnią, skończoną świnią, i zrobiłbym to, gdybym nie sądził, że pan jest chory umysłowo, pan jest kompletny wariat!

— No to mnie też zapiszcie do wariatów! — wybuchnął Mertel. — I pana hrabiego, i pana mecenasa, i pana redaktora, bo oni myślą analogicznie!

— Proszę w moim imieniu nie mówić! — zastrzegł się Kłos.

— Mówię w imieniu tych wszystkich, dla których słowa ojczyzna i patriotyzm coś znaczą!

— A Bóg i honor? Bóg i honor, proszę panów! — włączył się Stańczak. — Wśród naszych świętych triad Bóg — honor — ojczyzna górą! Dla reszty dziewczyna — wino — śpiew!

— Panie profesorze, dość tych wygłupów! — zażądał Kortoń.

— Czemu? Ja jestem Polak mały, a mój znak to orzeł biały!

— Pański znak, profesorze, to pijana kura!

— Dom wariatów! — westchnął Bartnicki.

— Rzeczywiście przytaknął Mertel. — Szkoda, że nie dom patriotów! Ale być może nie wszyscy tutaj są abnegatami. Zróbmy głosowanie...

— Mam w dupie pańskie głosowanie! — wrzucił ramionami Sedlak.



— W dupie to pan masz siedzącego tam cykora, panie Sedlak — cykora, że by was przegłosowano! Że wygraliby ludzie, którzy nie unikają tej brudnej, według was, gry!

— A pańskim zdaniem ona nie jest brudna? — spytał doktor Hanusz.

— Moim zdaniem trzeba za wszelką cenę uratować ludzi, których przegłosowaliśmy do wykupienia, panie Hanusz!

— Za wszelką cenę?

— Tak!

— Są ceny zbyt wysokie, i monety zbyt kosztowne w pewnych sytuacjach, więc niech pan nie nadużywa słów — zwrócił Mertlowi uwagę radca Malewicz.

Profesor Stańczak znowu przerwał półdrzemkę z otwartymi powiekami, bo usłyszano jego baryton:

— Wcale nie nadużył słów. To raczej wy, panowie aniołowie, zonglujecie po kuglarsku sylabami, pragnąc obronić dziewictwo swych sumień, trochę dla mnie wątpliwe, bo każdy z was żyje parędziesiąt lat, więc musiał nie raz utracić błonę dziewiczą. Zbyt wysokie ceny, zbyt kosztowne monety... Śmieszne!

— To tak, jakby pan głosił, że moralność jest śmieszna, że etyka jest warta śmiechu, panie profesorze! — powiedział z wyrzutem ksiądz Hawryłko.

— Nie, księżulu, ja mówię o... o groszu czynszowym za codzienne życie w wilczym stadzie. O kupowaniu sobie futerek ucieczki i dróg ewakuacji. Wszystko jest monetą, każda nasza myśl i każde działanie, i wszystko jest waluciarnią — sfera umysłu i sfera czynu. Raz — że każda nasza myśl i każde działanie ma cenę, którą trzeba zapłacić życiu bezwarunkowo. Dwa — że wszystko, co myślimy i co robimy, ma równie realny jak moneta awers i rewers. Weźmy przykład pierwszy z brzegu, pierwszy lepszy adekwatny do naszej sytuacji dzisiejszej. „*Wiara przenosi góry*”, ergo: „*Trzeba chcieć, aby móc*”, ergo: „*Dla chcącego nie ma nic trudnego*”. Tak mówi przysłowie, i słusznie mówi. Wszakże istnieje również „*prawo odwrotnych skutków*” im usilniej staramy się czegoś dokonać, tym mniejsza szansa, że się nam uda. I to też jest prawda.

— Panie radco, pan upraszcza...

— Panie mecenasie, to pan upraszcza co tylko można, dyrygując ruletką przy tym stoliku! Upraszcza pan etykę, logikę, procedurę demokratyczną i zasady higieny zdroworozsądkowej. Czy tego pana nauczono, gdy studiował pan prawo?



Krzyżanowski zachnął się, robiąc minę człowieka krzywdzonego publicznie bez powodu:

— Na miły Bóg, drogi panie!

— Chcę tylko usłyszeć, czy tego wszystkiego wyuczono pana, gdy studiował pan prawo.

— Życie nauczyło mnie, że czasami trzeba wybierać między złem większym a złem mniejszym! — odparł Krzyżanowski. Przypuszczam, że doktor Hanusz, jako lekarz, każdego dnia styka się w szpitalu z tym problemem.

— A co, pańskim zdaniem, jest złem mniejszym?

— Proszę zapytać lekarza, doktor Hanusz poda panu konkretne przykłady, panie radco. Od półtora roku w szpitalu brakuje lekarstw, zastrzyków, opatrunków, plazmy, nici, kroplówek, wszystkiego, bo Niemcy wszystko rekwirują na wschodni front, gdzie mają dziesiątki tysięcy rannych. Proszę zapytać pana doktora, jak często on i jego zwierzchnik musieli operować, lub ratować zastrzykami czyjeś życie, w sytuacji, gdy danego dnia trzeba było ratować pięciu pacjentów witających się ze śmiercią, a lekarstw starczało tylko dla dwóch! Wtedy musieli wybierać dwóch z pięciu! Albo jednego z trzech! Proszę go zapytać, jak często tak się zdarzało. Odpowie, że przynajmniej raz na tydzień!

Wszyscy zwrócili wzrok ku wciąż stojącemu przy drzwiach doktorowi. Hanusz opuścił głowę i milczał. Krzyżanowski czekał kilkanaście sekund, by podjąć wątek z tą samą werwą:

— A później proszę go zapytać jakie były kryteria wyboru!... Choć może lepiej nie. Bo co panu odpowie — że wybierali młodszych, bogatszych, przystojniejszych, inteligentniejszych, czy vice versa? Każdy ich wybór był wyborem okrutnym, a co uważali za mniejsze zło, to ich tajemnica, może nawet bardzo wstydliva. Tak czy owak — nie mam wątpliwości, że stosowali zasadę wyboru mniejszego zła, i pewnie kierując się tylko subiektywną intuicją. Bo chyba nie ma regulaminu w takich sprawach, nie ma kodeksu, przepisy tu nie istnieją, wybór jest więc całkowicie subiektywny...

— Zdarza się i obiektywny, regulaminowy, panie mecenasie — wtrącił Kłos. — Słyszał pan o „trójkowoniu”?

— Nie przypominam sobie.

— To system dzielenia rannych podczas wojny na trzy grupy — na tych, co umrą mimo lekarskich wysiłków, na tych, co i tak przeżyją, bez żadnych ratunkowych starań, i wreszcie na tych, którzy umrą, jeśli nie dostaną pomocy



medycznej. Wobec ograniczonych środków — wszystkie medykamenty są przeznaczone dla tej trzeciej grupy. Anglicy tak robią.

— Wątpię, czy Polacy tak robią... — skrzywił się mecenas. — Proszę zapytać panów Mertla i Kortonia, czy ich leśni koledzy tak robią. A zresztą porównanie jest bezsensowne — nie można porównywać warunków frontowych i szpitalnych, bądź sytuacji z rannymi i sytuacji z chorymi. Głowę dam, że Stasinka i Hanusz nie praktykowali pańskiego „trójkowania”, redaktorze. Tymczasem wybierać musieli wciąż, i to nie kierując się odgórnym systemem, lecz... No właśnie, czym? Czym się kierowali wybierając tych, którym podadzą lekarstwa, i tych, którym nie podadzą, skazując ich na śmierć?

— Już pan mówił, że intuicją, lecz ja bym wolał usłyszeć to od doktora Hanusza — rzekł Bartnicki.

Znowu wszyscy spojrzeli ku lekarzowi, ale ten dalej milczał, nie unosząc głowy ni oczu.

— Musieli się kierować także sumieniem, wewnętrzną przyzwoitością — podjął wątek mecenas. — Bo chyba nie łapówką, nasi lekarze to uczciwi ludzie... Wybierali do ratowania kobiety czy mężczyzn? A może sympatycznych i władających poczuciem humoru? Lub może, jak już wspomniałem, młodych, uważając, że starzy i tak się sporo nażyli, więc trzeba dać szansę młodym, co?... A może wszystko to na odwrót?... W każdym razie jakiegoś wyboru dokonywać musieli. A jeśli musieli — to musieli znaleźć jakieś kryteria wyboru, bo chyba nie rzucali monetą? A jedyne sensowne kryterium wyboru w sytuacji ekstremalnej — to kryterium mniejszego zła!

Bruś zaklaskał, jakby siedział na widowni teatru, i odezwał się cierpko:

— Wreszcie rozumiem, dlaczego z taką łatwością wygrywał pan wszystkie sprawy swoich klientów, panie mecenasie!

Krzyżanowski otworzył usta, by udzielić riposty, jednak wstrzymał się, gdyż zobaczył Hanusza wracającego do stołu. Hanusz, blady jakby wypompowano mu krew, nie tyle siadł, ile osunął się na swoje krzesło, a głowa opadła mu na ręce trzymające krawędź blatu. Robił wrażenie człowieka, który zasłabł lub któremu gwałtowny ból odbiera przytomność.

— Co panu jest, doktorze?! — krzyknęli Kortoń, Hawryłko i Bartnicki.

— On tu kipnie, cholera!... — zaklął Godlewski.

Ksiądz wziął serwetę i wachlował Hanusza, Sedlak wlał mu do gardła trochę płynu, a Stańczak zapytał urzędowym tonem:

— Przepraszam, czy na sali znajduje się lekarz?



Dowcip był szczególnie brzydki, więc kilkanaście żrenic spiorunowało profesora, a Malewicz zrugął go:

— Wstydz się pan, profesorze! To wcale nie było śmieszne, ale pan zdaje się uwielbia tańczyć na cmentarzu! Całe to spotkanie jest owiane grozą śmierci, co panu nie przeszkadza raz za razem błaznować, dowcipkować...

— Bo „życie jest tak okrutne, iż nie można traktować go serio”, jak się wyraził Wilde, kochany panie radco.

— Ale pan się posuwa do ostateczności, profesorze! — wsparł Malewicza Bruś.

— Że jak?

— Do ostateczności!

— Bzdura! Nikt nie posuwa się do ostateczności, ostateczność nie istnieje. Ktoś, kto twierdzi, że dalej posunąć się nie można, klepie frazes, kochany pigularzu. Można, zawsze można, niewykluczone, iż jeszcze dzisiaj sami przekonacie się o tym.

Doktor Hanusz uniósł brodę, rozwarł powieki i odsunął ręką serwetę majtającą mu przed czołem. Mówił cicho, głosem bardzo słabym:

— Już w porządku, nic mi nie jest... nic mi nie jest, proszę panów...

— Na pewno, doktorze?... — spytał Bartnicki. — Myślałem, że pan ma zawał.

— Nie, nie... Jestem tylko trochę zmęczony, mało spałem. Przez ostatnie dwie noce musiałem operować... Już w porządku.

Godlewski podał medykowi kieliszek z nalewką. Hanusz wypił do dna, a ci, którzy stali wokół niego, rozeszli się ku swoim krzesłom; został tylko Bruś.

— Odwiozę pana, doktorze. Chodźmy. Hanusz pokiwał przecząco głową.

— Dziękuję, panie Zygmuncie.

— Więc chce pan tu zostać?!

— A pan wychodzi? — spytał redaktor Kłos.

— Tak, nie będę dłużej brał w tym udziału.

— No to jest nas już dwóch, bo ja również nie będę brał w tym udziału! — przyłączył się Sedlak.

— Panowie — perswadował Krzyżanowski — nie biorąc udziału, nie zapobiegniecie temu, co określacie jako zło...

— Daruj pan sobie tę gadkę! — warknął Sedlak. — Mdli mnie już przez słuchanie tego! Nie chcę dłużej dyskutować z ludźmi, którzy zapomnieli o człowieczeństwie, o elementarnych...



— Teraz usłyszemy cytat z Marksa o człowieczeństwie człowieka! — parsknął Kortoń. — Co prawda według Karola Marksa wyznającego Karola Darwina człowiek pochodzi od małpy, jednak w ramach „walki klasowej” winien...

— Nie! Usłyszycie tylko, że mam już dosyć tego sabatu! A mam dosyć, bo nazywam się Sedlak! Nie wiem jak pan, panie Kortoń, lecz ja nie znalazłem swojego nazwiska na śmietniku!

— Znalazł je pan pewnie w kominternowskim rozdzielniku lewych nazwisk dla towarzyszy partyjnych wykonujących zleconą krecią robotę...

Sedlak rzucił się do adwersarza, pomstując:

— Ty skur...

— Panowie! — huknął Tarłowski. — Proszę mi tu nie robić ringu z mojego pałacu! Jedna bójka starczy! Proszę siadać!

Przodownik Godlewski odepchnął Sedlaka od Kortonia i wskazał im puste krzesła niczym funkcjonariusz dyrygujący na skrzyżowaniu ruchem. Siadając poczmistrz wrócił do frazy, którą mu przerwano:

— Nie dam szargać mego nazwiska, i sam też nie będę go szargał! Gdybym się zgodził na to, czego żąda Müller, mój ojciec wstałby z grobu i dałby mi po pysku!

— Amen! — przytaknęła zjadliwie wicedyrektor szkoły. — Pański ojciec już dawno winien pana solidnie złoić po pysku! Dobrze jednak, iż wciąż się pan go boi. Dzięki temu zachowa pan nie tylko proletariacką godność, lecz i kanoniczną świętość, przynajmniej dzisiaj.

— Cokolwiek zachowam, będzie to dużo więcej niż pan, panie Mertel, przejął od swego starego, który podobno był człowiekiem bardzo przyzwoitym.

Mertla to zdanie nie rozgniewało. Zrobił minę tak zamyśloną, jakby ujrzał swego ojca blisko stołu, i rzekł łagodnym głosem:

— Mój ojciec, panie Sedlak, nauczył mnie czegoś innego, czegoś, co się pewnie panu nie spodoba, i czego w ogóle pan nie zrozumie, więc zinterpretuje to pan jako propagowanie łajdactwa, ale opowiem panu. Mój stary twierdził, że bycie człowiekiem polega na unikaniu szukania doskonałości, i na niepraktykowaniu moralnego ascetyzmu, bo płaci się za to w życiu zbyt wielką cenę. Twierdził, że taka ludzka ułomność jest czymś lepszym niż świętość, której trzeba się wystrzegać bardziej od nikotyny i alkoholu. Zanim pan...

— I tego samego naucza pan swoich uczniów, panie pedagogu? — wtrącił się Sedlak, lecz Mertel nie przerywając dokończył ostatnie zdanie:



— ... Zanim pan włoży aureolę na czółko, niech pan chociaż wysłucha co proponuje mecenas Krzyżanowski.

Sedlak lekceważąco strzepnął dłonią okruch ze stołu i poszukał wzrokiem wsparcia u Malewicza. Ten przybrał minę człowieka rozdartego:

— Panie naczelniku, ja też mam... lub raczej miewam... ochotę wyjść, lecz...

— Jak to miewam?

— Bo raz mam ją, a raz nie, biję się z myślami.

— Co tu jest do bicia się z myślami?! Sprawa jest prosta, panie radco!

— Widocznie nie jest taka prosta, gdy tylko niektórzy z nas chcą wyjść, a wciąż nikt nie wyszedł. Ja nie biję się z myślami dlatego, bym miał wątpliwości co do moralnej oceny żądania Müllera i akceptacji tego żądania. Biję się z myślami, bo zastanawiam się nad czymś innym. Wyjść jest łatwo. Lecz czy nie należy zostać, choćby dlatego, by nie zostali tu sami zwolennicy podporządkowania się makiawelizmowi Müllera? Zostać i przekonać ich, że się mylą?

— Panie radco, z tej samej przyczyny ja nie wyszedłem, tylko wróciłem do stołu — rzekł Hanusz.

— I ja, i ja, bracia, po to właśnie wciąż tu jestem — oznajmił ksiądz Hawryłko.

— A ja, nim podejmę decyzję, chciałbym, żeby pan mecenas był łaskaw wytłumaczyć nam co oznaczałoby mniejsze zło w naszym przypadku — zadeklarował redaktor Kłos. — Bo te szpitalne przykłady z lekarstwami i operacjami to zupełnie inna bajka, to mnie nie przekonało, panie mecenasie.

— Wyjaśnię panu, i nie tylko panu — ucieszył się Krzyżanowski. — Kolegów, którzy już zamierzają iść, proszę o cierpliwość. Jeżeli was nie przekonamy, wyjdziecie później, siłą nikt was nie będzie trzymał. Jak słusznie podniósł pan radca Malewicz — wyjść jest najłatwiej...

— Lub najtrudniej — skorygował ksiądz. — Dużo łatwiej jest mówić, gdy dostało się obrotny język. Sądzę, bracia...

W tej chwili profesor Stańczak uznał się za wyzwanego:

— Ksiądz ma na myśli kazania coniedzielne?

Hawryłko nie dał się wybić z konceptu:

— ...Uważam, że nie powinniśmy nawet mówić o tym, bracia, nie powinniśmy dyskutować o tym, nie powinniśmy przykładać rąk...

Ale profesor nie należał do retorów, których można bezkarnie zagłuszyć:



— Tylko umyć rączki, tak, wielebny pasterzu? Bo umyć rączki można jeszcze łatwiej niż machać ozorem, prawda?

— Pańską metodą argumentacji...

— Nie mówimy o mojej metodzie, tylko o metodzie Poncjusza Piłata, wielebny — o umywaniu rąk!

— Wyłącznie ty o tym mówisz, synu.

— Na syna księdza to jestem chyba trochę za zgrzybiały. A mówię dlatego właśnie, żeby przypomnieć księdzu kolegę Piłata... Pamięta go ksiądz?

Hawryłko zamilkł, jakby go uderzono w twarz. Znowu po sali rozpełzło się krepujące milczenie. Przerwał je Malewicz, wyrzucając Tarłowskiemu:

— Gratulacje, panie hrabio! Jest pan wielkim łowczym!

— Że co? — zdumiał się hrabia.

— Że to nie pałac, tylko klatka bez wyjścia, panie hrabio.

— Ależ, panie radco, pańska złośliwość jest doprawdy nie na miejscu!

— Moja złośliwość jest dużo mniejsza od pańskiej perfidii, a pańska perfidia jest równa perfidii Müllera, panie hrabio, tylko przybrała inną formę.

— Doprawdy, pan sobie pozwala...

— Pozwalam sobie mówić co myślę, a myślę w ten sposób, gdyż profesor Stańczak właśnie mi to uświadomił wspominając o prokuratorze rzymskim Judei, Piłacie Poncjuszu, panie hrabio...

— Przecież ja nie umyвам rąk, panie Malewicz!

— Nikt już nie może ich tutaj umyć, tak jak nikt już nie może tutaj zrobić czegokolwiek, co byłoby bez skazy. Pan, w swojej perfidii, przewidział to bardzo dokładnie...

Malewicz rozejrzał się po wszystkich fizjonomiach i zakomunikował głośno:

— Uświadomcie sobie i wy, szanowni współbiesiadnicy, że pan hrabia zamknął nas w takiej klatce, w której nie ma dobrego życia i z której nie ma dobrego wyjścia. Żadnego dobrego wyjścia! Każda decyzja, którą panowie podejmiecie, będzie zła, żadna nie zostawi wam sumienia w spokoju!

— Jak to żadna? — zdumiał się Godlewski.

— Żadna, panie przodowniku. Przyjąć warunek Müllera — znaczy stać się oprawcą. Czy współsprawcą, na jedno wychodzi. Odrzucić żądanie Müllera, lub wyjść stąd nie biorąc udziału — znaczy odebrać czterem ludziom, których możemy wykupić, szansę uratowania życia. Bez wątpienia to drugie byłoby właśnie złem mniejszym, bo nikt spośród nas nie musiałby dręczyć się do końca życia myślą, iż wydał kogoś w gestapowskie łapy... Ale myśl, że na





przykład profesor Stasinka mógłby zostać uratowany, gdybyśmy znaleźli jakieś sensowne rozwiązanie — też będzie wielkim ciężarem na sumieniu...

— Jakie sensowne rozwiązanie?! — wrzasnął aptekarz. — Jakie tu można znaleźć sensowne rozwiązanie, do cholery?!!

— Właśnie to chciałem usłyszeć z ust mecenasa Krzyżanowskiego nim sam zadecyduje jak postąpić, ale szczerze mówiąc wątpię, czy usłyszymy coś, co mogłoby stanowić balsam dla sumienia — odparł Malewicz. — Siedząc tu, przez cały czas też szukam rozwiązań, szukam jakiejś furtki, i bez skutku... Z tego salonu nie można wyjść dziewicą! Jeśli ktoś się jeszcze łądzi, że można — radzę pozbyć się złudzeń!

— Panowie — rzekł Kłos — dajmy mówić mecenasowi. Wciąż czekam, by pan mecenas wyeksplikował na czym konkretnie polegać będzie mniejsze zło w tym przypadku.

Wszystkie źrenice uczepliły się Krzyżanowskiego. Ten zgasił papierosa, uwolnił chustką nos od alergicznego kataru, któremu palenie bardzo szkodziło, i przystąpił do rzeczy, ale nie do konkretnej rzeczy:

— Panowie, całkowicie się zgadzam z diagnozą pana radcy Malewicza — stąd nie można już wyjść dziewicą. Jeśli ktoś myśli, że zachowa czyste sumienie, bo zaniecha udziału w dyskusji i decyzji, lub po prostu wyjdzie, żeby nawet nie słyszeć tego — to będzie tylko sam siebie oszukiwał!

— Panie mecenasie — zirytował się doktor Hanusz — mieliśmy usłyszeć nie tę powtórkę diagnozy pana radcy, tylko co tu jest mniejszym złem według pana! Przez co ja rozumiem propozycję konkretną i szczegółową. Powie nam pan to w końcu?

— Chętnie, panie doktorze. Sprawa jest bardzo prosta. Otóż... nie muszę panom tłumaczyć, bo sami wiecie ilu mamy w Rudniku mętów. Złodziei, bandytów, nachalników różnych, szumowiny wszelakiej. Wieczorem można spacerować bezpiecznie tylko na rynku i po głównych ulicach. Jest dużo gorzej niż przed wojną. To zresztą normalne, bo wojna zawsze przynosi rozprężenie obyczajów i nasilenie przestępczości. Mam pytanie do pana przodownika Godlewskiego: czy są w Rudniku bandziory, o których policja wie z całą pewnością, że parają się zbrodniami, lecz nie może ich aresztować, bo brak świadków lub konkretnych dowodów dla trybunału?

Godlewski przyznał bez wahania:

— Nie jeden, panie mecenasie! Kilku by się znalazło!... A „Precel” to najgorszy!... Znaczą Karwowski Leon. To cała rodzina nożowników, od pokoleń tną każdego niefartownego, każdego, kto im się nie spodoba, albo jak



coś mają do człowieka, panie mecenasie. Zeszłego roku nad rzeką dziewczynę zadźgał, bo mu nie chciała dać po dobrej woli...

— To pewne, panie przodowniku?

— Jak dwa razy dwa to cztery, proszę pana! Wszyscy o tym wiedzą, ale przez strach nie będzie zeznawał nikt.

— Więc daje pan głowę, że to fakt? Ten nożownik zabił kobietę nad rzeką?

— Panie mecenasie, on sam się tym przechwala po pijaku!

— Słyszał pan to na własne uszy?

— Ja nie, ale tyle luda słyszało.

— Mam teraz pytanie do pana hrabiego — rzekł Krzyżanowski. — Czy Müller stawiał jakieś warunki względem osób, które trzeba mu wskazać?

— Żadnych, chce czterech ludzi za czterech, żeby było równo dziesięciu. Kpił nawet, iż jest mu wszystko jedno, więc mogę dać moich służących, stajennych, kogokolwiek.

Krzyżanowski spojrział wymownie we wszystkie oblicza.

— Teraz już panowie wiecie, co rozumiałem przez mniejsze zło. Czyż życie tego, jak mu tam.,.

— „*Precla*” — dopowiedział Godlewski.

— ... właśnie, tego „*Precla*” — czyż takie życie jest tyle samo warte co życie profesora Stasinki lub leśniczego Ostrowskiego? I czy wydanie tego mordercy obciąży nasze sumienia? Czy popełnimy niegodziwość, panowie?

— Ależ skąd! — zagrzmał profesor, grzebiąc sobie palcem w swędzącym uchu. — Popełnimy przyzwoitość, ergo chwalebny uczynek, panie mecenasie. Według terminologii kościelnej to się nazywa „*dobry uczynek*”.

— Bez wątpienia! — odparował Krzyżanowski. — Lekarz i zbrodniarz mają rangę zupełnie inną. Powszechnie się uważa, że...

— Powszechnie się uważa — przerwał mu Stańczak — że wdepnięcie butem w gówno przynosi szczęście, tymczasem jakoś zawsze klniemy gdy wdepniemy. Wie pan czemu, panie kauzyperdo?!

— Profesorze, mógłby pan...

— Ależ mógłbym, mógłbym! Nie mógłbym tylko jednego — oddać samego siebie w ręce Müllera za jakąś patentowaną ofiarę losu. Innych wydam z chęcią... A gdy jeszcze będzie się to działo kolegiąlnie... Czysty zysk, proszę panów! Ukarzemy zbrodniarza, wobec którego prawo jest bezradne, i dzięki temu uratujemy lekarza będącego dobroczyńcą ludzkości, za co ludzkość, nie mówiąc już o Opatrzności Bożej, winna nas sownie nagrodzić, prawda?



Ten dowcip nie rozśmieszył nikogo. Kortoń podjął wątek wytracony przez Stańczaka Krzyżanowskiemu:

— „*Precel*” za ordynatora to chyba dobry interes? Panie Bruś, panie Hanusz, panie Sedlak, panie Malewicz?... Czy dalej jesteście przeciwko teorii mniejszego zła?

— Z pozoru rzecz wygląda słusznie... — powiedział aptekarz — ... lecz tylko z pozoru.

— Dlaczego tylko z pozoru?... — przycisnął Kortoń.

— Bo... bo moralnie... bez względu na to kim jest i co robi ten „*Precel*”, rzecz jest... no, nie jest zbyt oczywista...

Bruś urwał, a Malewicz zaczął mówić zrezygnowanym głosem:

— Czysta jest tu tylko fatalność... Fatalność, nie zaś problem większego bądź mniejszego zła, proszę panów. To raczej problem podwójnego pecha! Cholernego podwójnego pecha!

Nikt nie zrozumiał dlaczego radca mówi o podwójnym pechu; zapytał Bartnicki:

— Jak to podwójnego?

— Zwyczajnie. Po pierwsze jest to brak szczęścia tych ludzi, których Gestapo aresztowało, bo równie dobrze mogli być wybrani inni, choćby niektórzy z nas. Po drugie jest to nasz pech, bo to nas pan hrabia raczył był zaprosić do swego pałacu dla podjęcia jakiejś decyzji w sprawie, w której każda decyzja będzie zbrodnią, nawet decyzja nie uczestniczenia w tym wszystkim, gdyż to prawda, że wstać od tego stołu z czystym sumieniem nie można już. A jeśli zdecydujemy się dać Müllerowi czterech ludzi na wymianę — będzie to także pech owego kwartetu, i wówczas będziemy mogli mówić o pechu trzecim. Więc nawet nie podwójny, lecz potrójny pech, panowie. Chcemy czy nie chcemy — wkroczyliśmy w przeklętą sferę fatum!

— Ooo, to ładnie powiedziane! — rozanielił się Stańczak. — I prawdziwie! Brawo, panie radco! Wkroczyliśmy... przepraszam — wdepnęliśmy w fatalny czerwony krąg obłądu kapitana Ahaba! To zaszczyt, proszę panów! Nie każdy ma ten honor, by spotkać na swym gościńcu wielkie białe zwierzę pod postacią jakiegoś Müllera, i móc zgnoić siebie samego!

— A przez kogo mamy ten pasztet?! — wściekł się Sedlak. — Przez tych leśnych bohaterów, wyzwolicieli Polski, których reprezentują tu panowie Mertel i Kortoń!

— A nie wie pan czasem, towarzyszu, kto tu reprezentuje tych leśnych zbirów, co tylko rabują po wsiach, nazywając złodziejstwo, bandyckie



złodziejstwo, rekwizycjami? — zapytał gniewnie Mertel. — Dla ułatwienia dodam, że przedstawiają się jako ludowa partyzantka wyzwolenicza, chociaż wyzwalają jedynie chłopów z ich dobytku, a od walki przeciw Szwabom stronią jak diabeł od wody święconej!

— Niech pan przestanie się czepiać! — pisnął poczmistrz. — Ja nie mam z tym nic wspólnego!

— Pewnie, że nie ma pan ze święconą wodą nic wspólnego. Tym bardziej więc jest dziwne, że przemawia pan słowami Ewangelisty.

— Jakiego znowu Ewangelisty?!

— Świętego Mateusza. On też radził nie walczyć o nic, przeciw żadnemu złu, bo po co ludziom taki pasztet? Pisał: „*Nie sprzeciwiajcie się złu, nie stawiajcie złu oporu*”. Siedzieć na dupie, nie strzelać, nie wojować, nie bronić się, tylko pokornie akceptować każde zło, a wówczas nie będzie kłopotliwych pasztetów. Czy tak?

— Nie mówię, że... — chciał bronić się poczmistrz.

— Mówi pan, mówi, towarzyszu, wszyscy słyszeli! — zagłuszył go bezceremonialnie Kortoń. Opór jest pasztetem, który rodzi wielki ból i wielki kłopot! Jak Sowieci uderzyli nas w plecy 17 września, najeżdżając Polskę od wschodu, gdy Niemcy wdzierali się już od zachodu — słyhać było wzdłuż Bugu wrzask, żeby się nie bronić, bo Rusczy to wyzwoliciiele. Wyzwalali takich jak pan! Lecz przecież tutaj, w Rudniku, pan mieszka nie pod ukochanym Kacapem, tylko pod butem szwabskim! Tymczasem znowu pan agituje za bezczynnością...

— Nie on jeden — przypomniał Mertel, patrząc oskarżycielsko na Malewicza.

— Fakt! — przytaknął Kortoń. — To jest nasza polska hańba, że tylu Polaków daje dupy jak wełniane owce! Broń Boże się stawiać! Należy siedzieć cicho i żadnym oporem nie drażnić ciemiężców!

— Należy prawidłowo tłumaczyć teksty biblijne! — zgromił Mertla i Kortonia filozof.

— Co?

— Pstro! Popisujecie się znajomością Ewangelii pełnej translatorskich błędów. Grecki tekst Ewangelii świętego Mateusza od wieków błędnie tłumaczono. Po grecku zdanie cytowane przez pana Mertla brzmi: „*Nie rewanżujcie się złu*”, w znaczeniu: nie rewanżujcie się taką samą metodą, jakiej użył złoczyńca.



— Czyli na bomby i pociski trzeba odpowiadać pigułami ze śniegu? — spytał Mertel.

— Myślę, że apostoł chciał, by nikczemnością nie zwalczać nikczemności — wtrącił ksiądz Hawryłko,

— A do czego chce nas zmusić Müller? — przypomniał Bruś. — Właśnie do tego, do zwalczenia nikczemności nikczemnością.

— Nie nas, nie nas! — sprzeciwił się redaktor Kłos. — Müller rozmawiaj z panem hrabią Tarłowskim...

— A pan hrabia przyjął jego warunki... — uśmiechnął się krzywo Sedlak.

— Nie, panie naczelniku! Żadnych warunków nie przyjąłem... Odpowiedź mam mu dać rano, a jaka to będzie odpowiedź — zadecydują wszyscy.

— I, pańskim zdaniem, jeśli zadecydujemy wszyscy, to wszystko będzie w porządku, zwycięży sprawiedliwość?

Hrabia, ukłuty tym pytaniem, zgłupiał, ale wyręczył go Krzyżanowski:

— Panowie, pojęcia takie jak sprawiedliwość...

— Są względne, o to panu chodzi, mecenasie? — zaatakował Bruś.

— No, do pewnego stopnia...

— Myli się pan, względne są kryteria piękna, ale nie kryteria sprawiedliwości! Estetyka jest sferą względną, lecz nie etyka!

— To pan się myli, panie magistrze. Sprawiedliwość...

Znowu nie dano Krzyżanowskiemu rozwinać myśli. Tym razem uderzył Stańczak:

— Przepraszam, panie mecenasie, ale czy będzie pan nam truł o sprawiedliwości mniejszej, czy też wyłącznie o sprawiedliwości większej?... Muszę przyznać, że nie jestem pewien jak sprawiedliwość dzieli się na te dwa podgatunki, to znaczy — w jakich proporcjach? Zresztą, szczerze mówiąc wątpię, by dzieliła się w jakichkolwiek proporcjach; mam tu raczej zaufanie do Bonapartego, który rzekł: „*Sprawiedliwość jest niepodzielna, nie może być półsprawiedliwości*”. Mimo to pytam pana o podział, gdyż widząc jak podzielił pan zło na większe i mniejsze — skłonny byłbym przypuszczać, że i sprawiedliwość ulega według pańskiej doktryny prawniczej rozdzieleniu. Konfuzja Krzyżanowskiego sięgnęła zenitu. Wybąkał niepewnym głosem:

— Cóż... z punktu widzenia prawa... Czy pyta pan dlatego, że...

— Pytam przez zwyczajną ciekawość, panie Krzyżanowski. A dokładniej — przez jej drugi rodzaj.

— Drugi rodzaj?...



— Owszem, drugi. Ten, który do piekła nie prowadzi pytającego. Więc jak — która sprawiedliwość jest sprawiedliwością większą, a która mniejszą?

— Panie profesorze, sprawiedliwość... pełna sprawiedliwość może istnieć tylko wtedy... to znaczy powinna istnieć wówczas, gdy u podstaw...

Dukanie Krzyżanowskiego zakłócił Malewicz:

— Albo nie powinna istnieć!

— Jak to? — zdziwił się Bruś.

— Mówię, że może sprawiedliwość nie powinna istnieć. W każdym razie powszechna sprawiedliwość.

— Dlaczego, panie radco? — zapytał Hanusz.

— To tylko teoria, doktorze.

— Pańska teoria?

— Nie, nie moja. Powtórzyłem wam kwintesencję pewnego prawniczego wykładu.

— Czyjego wykładu? zainteresował się Krzyżanowski.

— Seminaryjnego. Widzi pan, mecenasie, ja również studiowałem prawo, na Uniwerku Lwowskim, przez cztery lata. Jeden z profesorów zrobił nam wykład o tym, że powszechna pełna sprawiedliwość byłaby szkodliwa, bo odebrałaby ludziom nie tylko marzenia o niej, lecz przede wszystkim poczucie jej sensu. Musi zatem istnieć niesprawiedliwość, by ludzie cenili sprawiedliwość. To tak, jak ze szczęściem: gdyby kompletnie zanikło nieszczęście — nikt nie doceniałby szczęścia. Bardzo to upraszczam, ale wykładowcy chodziło właśnie o degenerujący aspekt raju. Powszechną równość i powszechną sprawiedliwość pyrgnął na śmietnik. Notabene ustawową równość ganił bardziej jeszcze surowo niż totalną sprawiedliwość.

Krzyżanowski odzyskał wigor słuchając Malewicza:

— A co ja wam perswadowałem, panowie? Równość to idiotyzm, społeczeństwo nie składa się z ziaren ryżu! Człowiek zasłużony i potrzebny społeczeństwu ma chyba większą wartość niż bandyta? Dziękuję panu, panie kolego, że pan wsparł ów słuszny pogląd przypomnieniem wykładu profesora, który nauczał prawa...

— Tak — wtrącił Malewicz — ale on przyszedł na ten wykład pijany, i za ten wykład zwolniono go z etatu.

Ośłupienie trwało chwilę. Zbiorowy śmiech (cichy — taki „*pod nosem*”) trwał kilkanaście sekund, a nie śmiali się tylko hrabia, mecenas, jubiler i ksiądz. Realność przywrócił policjant:



— No to... no to w końcu jak będzie, proszę panów?... Bo ja już naprawdę nie wiem...

— Czego pan nie wie, panie przodowniku? — spytał Bartnicki.

— Nie wiem kto ma rację, komu uwierzyć, kurde mol! Od tego waszego gadania można dostać kręćka, proszę panów! Mnie już łeb od tego wszystkiego boli!

Ksiądz pochylił się ku niemu i doradził konfesjonalnym szeptem:

— Niech pan tylko zrobi jedną łatwą rzecz, panie przodowniku. Niech pan zapyta swojego sumienia. I niech pan sam sobie odpowie, czy chce pan wydawać Müllerowi ludzi na śmierć...

— Właściwie to nie... — westchnął Godlewski. — Ale jak sobie pomyślę, psiakrew, że pan profesor Stasinka czeka tam na rozwałkę, a taki „Precel” mógłby iść za niego... Niby nie chciałbym, ale też chciałbym, proszę księdza... No nie wiem!

Doktor Hanusz wyraził swą aprobatę kiwając głową i mówiąc:

— Nie tylko pan jest w ten sposób rozdwojony, panie przodowniku. Ja również, podobnie jak pan, jestem teraz „*homo duplex*”...

Godlewski zerwał się na równe nogi i siny z gniewu ryknął:

— Ja nie jestem żaden dupleks, proszę pana! Nie pozwolę się obrażać, do cholery!

Profesor Stańczak eksplodował homeryckim śmiechem, gdy lekko speszony medyk tłumaczył gliniarzowi:

— Ależ ja wcale pana nie obrażam, przodowniku. „*Homo duplex*” to pojęcie łacińskie, które mówi, że człowiek jest istotą dwoistą. Pascal trafnie ujął tę dwoistość człowieka, gdy pisał o bezradności racjonalnych metod wobec najważniejszych w życiu zagadnień. Pisał, że człowiek jest podzielony i sam sobie przeciwny, bo porządek serca nie chce się godzić z porządkiem rozumu — serce ma swoje racje, których nie zna rozum. I człowiek jest bezradny — bezradny wobec swojej dwoistości.

Akompaniamentem dla tych słów były krople deszczu coraz silniej uderzające o szyby. Nim Hanusz skończył — ulewa siekła już pałac huraganową wodą, a z bliska i daleka rozbrzmiewał huk piorunów. Zuchwały wiatr dublował wściekłość chmurnego nieba. Policjant usiadł ze spuszczoneym wzrokiem. Miał dość tego gremium, lecz nie mógł stąd czmychnąć. Krzyżanowski wykorzystał milczenie (spowodowane bardziej erupcją i eskalacją burzy, niż słowami lekarza), nawiązując do wątku Hanuszowego:



— Doktor Hanusz pięknie to wyłożył: „*porządek serca nie godzi się z porządkiem rozumu*”... Otóż ja, panowie, uważam, że w naszym przypadku racje serca i racje rozumu są zgodne ze sobą, bo tak serce, jak i rozum, podpowiadają co winniśmy zrobić. Jest to domena patriotycznego obowiązku, o którym mówili tu panowie Mertel i Kortoń, i zarazem...

Rozległo się arcypotężne uderzenie pioruna, gdzieś bardzo blisko pałacu. Wszyscy odwrócili głowy ku oknom. Szyby smagała ulewa ciężka jak potop z oberwanej chmury.

— Pewnie Pan Bóg gniewa się na kogoś... — wyszeptał jubiler.

Zawtórowało mu szaleństwo wichru. Wtem ułamana gałąź grzmotnęła framugę, gwałtownie otwierając okno. Doniczki spadły z parapetu, roztrzaskując się, a firanki falowały pod sufitem niby urwane żagle, które wzdyma huragan. Godlewski pierwszy (a za nim prawie cała reszta) rzucił się na ratunek. Padały okrzyki bojowe: „— *Cholera jasna!*”, „— *Psiakrew!*”, „— *Żeby to szlag!*”, tudzież inne tego rodzaju. Przymknięto okno. Kamerdyner Łukasz zebrał skorupy, kwiaty oraz ziemię kwiatową, a służąca wytarła ścierką mokre klepki pawimentu. Wracano do stołu komentując zdarzenie („— *Ale się rozpadało!*” etc.) i wycierając chusteczkami twarze. Gdy już wszyscy usiedli, a niektórzy również wypili, Tarłowski zapytał:

— Na czym to stanęliśmy, panowie?

— Na walorach klatki pałacowej, na problemach sprawiedliwości powszechnej i na patriotycznym obowiązku zadołowania obywatela „*Precla*”, panie hrabio — zrekapitulował Stańczak, wskazując palcem przytulone do ściany lustro, które prawie sięgało sufitu.

Wszyscy odwrócili głowy w stronę tego zwierciadła. Jego tafla ubrudzona była dużym czerwonym napisem. Ktoś wykaligrafował tam szminką: „*RUDNIK EXPECTS THAT EVERY MAN WILL DO HIS DUTY!*”. Oślupieniu uległa dwunastka, czyli wszyscy prócz autora napisu.

— Co to jest?! — spienił się Godlewski, — Kto to wygryzmołił, do kur...

— To po angielsku, panie przodowniku — objaśnił funkcjonariusza redaktor Kłos. — Znaczy: „*Rudnik oczekuje, że każdy wypełni swą powinność*”,...

— Raczej „*obowiązek*”! — skorygował Stańczak. — I nie „*każdy*”, tylko „*każdy mężczyzna*”, „*każdy facet*”!... To pastisz. Wie pan czego, redaktorku?

— Wiem, pastisz hasła, które admirał Nelson przesłał swym załogom, gdy rozpoczynał bitwę pod Trafalgarem. „*England expects that every man will do his duty!*”.





— Brawo, panie Kłos, piątka z historii, bravissimo! Ja tylko zamieniłem Anglię na Rudnik.

— Więc to pan?!,.. — oburzył się jubiler.

Rozstrzelała filozofa salwa z kilkunastu żrenic.

— Jak pan mógł! — zgromił Stańczaka mecenas.

— Dokładnie tak samo jak pan mógł, panie mecenasie! I pan, i ja podkreśliliśmy wagę obowiązku. Pańska fraza brzmiała... niechże sobie przypomnę... „*jest to domena patriotycznego obowiązku, o którym mówili tu panowie Mertel i Kortom*”. Czy precyzyjnie zacytowałem?... A moja brytyjska fraza wsparła pańską, jeszcze mocniej uwypuklając „*domenę patriotycznego obowiązku*”. Winien mi pan dziękować, panie Krzyżanowski...

— To też wariat, tylko inny!... — mruknął Bruś.

— Nie mogłem się powstrzymać, proszę panów — dopowiedział Stańczak.  
— Musiałem to zrobić.

— Ciekawe, że szminką... — uśmiechnął się Bruś. — Pan zawsze nosi szminkę przy sobie, panie profesorze?

— Nie noszę nigdy, więc nie podejrzewaj mnie o pedałstwo, pigularzu! Szminka leży tam, na blacie lustra!

— To jest szminka mojej żony — wyjaśni hrabia. — Sam ją tam położyłem.

— Jednak nie leżała tam dlatego, aby obcy brali ją do łap! — zagrział Krzyżanowski.

— Rzeczywiście, pan powinien się wstydzić, panie Stańczak! — uznał jubiler.

— Czegóż to miałbym się wstydzić, waluciarzu?!

— Choćby tego, że paskudzi pan sprzęty nie we własnym domostwie.

— Nic nie paskudzę, to się bez trudu zetrze szmata!

— I tego — dodał mecenas — że używa pan szminki nieboszczki hrabiny Tarłowskiej dla robienia sobie kpin przy jej mężu, gdy młody hrabicz Tarłowski jest o krok od rozstrzelania! Pan jest źle wychowany...

— Z pretensjami do moich rodziców i guwernerów! — odszczeknął Stańczak.

— ... źle wychowany i niepoprawny, bo od samego początku struga pan sobie żarciki ze wszystkiego nad czym debatujemy tutaj, chociaż roztrząsamy sprawy śmiertelnie poważne!



— A to już nie moja wina, że ten świat jest tak cudownie pojebany, iż można zwariować, popełnić samobójstwo lub umrzeć ze śmiechu. Ja wybieram to trzecie, i nikomu nic do tego.

Kortonia zalała krew:

— Lecz gdy już pan poznał temat dyskusji...

— To nie zmieniłem swej psychiki, bo nie umiem tego zrobić, drogi patrioto! Trzeba mnie było nie zapraszać!

— Ja bym pana nie zaprosił, mój panie!

— Do pana bym nie przyszedł nawet po ostatni łyk wody. Tutaj też się nie wpraszałem, i nie wiedziałem po co mnie zaproszono.

— Ale jeśli już się pan tutaj znalazł, to mógłby pan, miast wygłupów, wspomóc nas swoją radą, panie profesorze — odezwał się Bartnicki. — Czy jest pan za tym, żeby spełnić żądania Müllera, czy żeby je odrzucić?

— Ani za tym, ani za tym, każdy z tych wariantów jest mi obojętny idealnie.

— Jak to obojętny?! — zbulwersował się Hanusz. — Panu jest wszystko jedno?!...

— Zgadł pan, panie doktorze. Wszystkie wasze ideały, komunały, powinności oraz świętości mam głęboko w tym miejscu, które pańska dziedzina zwie „końcowym odcinkiem jelita grubego”

— Nawet moralność i sprawiedliwość?

— Nawet. Wbrew temu, co pod nosem imputował mi pan pigularz — nie należę do szaleńców.

— Więc pańskim zdaniem, profesorze... sondował Malewicz, jednak zapytany nie dal mu dokończyć pytania.

— Tak, moim zdaniem ten, kto szuka sprawiedliwości, jest szalony, gdyż sprawiedliwość nie istnieje, przyjacielu. Istnieje jako ustawa, lecz nie istnieje jako rzeczywistość. Jest chimera, a reklamowane oblicza i atrybuty tej fatamorgany są kłamstwem lub złudzeniem. Kłamstwem prawodawców i żandarmów, złudzeniem rządzonych. Sprawiedliwość nieuczciwego sędziego mało się różni od sprawiedliwości uczciwego, bo gdy ta pierwsza jest kłamstwem korupcji — ta druga jest kłamstwem kodeksu.

— Kodeksu Napoleońskiego również? — zapytał podchwytliwie Sedlak.

— Również, przy całym moim szacunku dla Bonapartego. Wszelkie kodeksy, jako pisma święte sprawiedliwości, muszą przegrywać z prostych powodów: zbyt wielu rzeczy nie da się zważyć, czyli rozsądzić sprawiedliwie. Względność wszystkiego, choćby względność piękna lub prawdy, tyczy i



sprawiedliwości, a gdy sprawiedliwość jest względna — to jak może być konstrukcją idealną?

— Lecz może ściagać ideał, dążyć ku obiektywizmowi... — szukał argumentu Mertel.

— Z przepaską Temidy na oczach?... Po ciemku?... Dajże pan spokój! Hasło względny obiektywizm byłoby równie groteskowe jak półdziewictwo lub częściowa śmierć. Sprawiedliwość Müllera jest kłamstwem i obrazą sprawiedliwości dla nas, ale nie dla rodzin tych czterech Szwabów zabitych przez „*polnische Banditen*”. Oto względność. Nie żądajcie więc, bym darzył szacunkiem kanony waszych ideologii. Idee są względne jak wszystko. Mówiąc prościej: względność wszystkiego jest według mnie całkiem oczywista, etyki i sprawiedliwości nie wyłączając, proszę panów.

— Czy i sprawiedliwości Bożej, bracie? — zapytał Hawryłko.

— Z syna awansowałem na brata, to chyba rodzaj komplementu? — roześmiał się Stańczak.

— Nie unikaj odpowiedzi, bracie. Czy i sprawiedliwości Bożej imputujesz względność?

— Jasne, proszę księdza. Gdyby ksiądz znał Pismo Święte, co księdzu polecam, bo to bardzo ciekawa powieść — to by ksiądz znał teorię Eklezjastesa, z której płyną ciekawe nauki o względności wszystkiego. Eklezjastes uczy, proszę księdza, że wszystko jest nicością, i dobro, i zło, nie warto się więc wysilać, bo jeden kres cnotliwych i niecnotliwych.

— Sięgasz, bracie, do starotestamentowych labiryntów...

— To zarzut? Ksiądz kontestuje Stary Testament?

— Nie, ale mimo wszystko...

— Tak, rozumiem, ksiądz jest sprzedawcą Nowego Testamentu przede wszystkim. No to sięgnijmy do Nowego Testamentu, wielebny ojciec. Występuje tam Szatan, mam słuszość?

— Masz.

— A Szatan jest figurą względną nad wszystkie inne, księżulu.

— Teraz nie masz. Szatan jest przeklęty.

— Jest dokładnie tak samo przeklęty, jak i niezbędny, proszę księdza. Gdyby nie on — ludzie nie mieliby okazji pokutować, i nie mieliby na kogo zwałać wszystkich okropności tego padołu leż. I wówczas niektórzy obwinialiby Pana Boga! A inni wąpiliby w istnienie Pana Boga! Horrendum, co?... Notabene względność istoty samego Boga to temat na kilkunocną dyskusję, więc przestańmy, pan hrabia nie ma dla nas tyle czasu. Radzę



księdzu tylko, by się ksiądz wystrzegął polemizowania ze mną w kwestiach wiary tudzież względności, gdyż najprostszym sposobem, jednym prostym pytaniem, mogę ośmieszyć doktrynę Kościoła używając względności jako budulca absurdu.

Sprowokowany Hawryłko nie mógł ustąpić, bo tym zademonstrowałby słabość. Miał obowiązek walczenia, choć coś w głębi duszy ostrzegało go przed wymianą ciosów z filozofem.

— Proszę bardzo — zaryzykował. — Rzuć to pytanie, synu.

— Czy prostytutka bluźni kiedy się modli?

— Każdemu wolno się zwracać do Pana Boga, a Niebiosa szczególnie łakną modlitw grzeszników .

— Czy prostytutka zostanie wysłuchana kiedy się modli?

— Pan Bóg nie zakrywa uszu na niczyją modlitwę.

— Tak, ale ja myślałem o tym kiedy prostytutka modli się branzowo.

— Jak to branzowo?

— No, żeby Pan Bóg dał jej dużo klientów.

Bruś złapał się za głowę i jęknął: — Ohyda!

— Mówiłem, bezwstydn! — wtórował Krzyżanowski, chociaż wcześniej nie on, lecz aptekarz wyrzucił Stańczakowi bezceństwo.

Hawryłko szukał inteligentnej riposty, jednak bez skutku.

— Widzi ksiądz? — triumfował Stańczak. — Wróciliśmy na poletko Eklezjastesa, który reklamuje względność egzystencji...

— Ale nie namawia do grzechu! — zaperzył się Hawryłko, — Nie będzie grzechu bez kary, Bóg każdego osądzi sprawiedliwie!

— Może by i osądził, gdyby zauważył, proszę księdza, ale wątpię czy On spogląda na ten nieszczęsny padół. Dawno temu, kiedy był jeszcze młody — bo przecież musiał mieć kiedyś swoją młodość — interesował się wszystkim; lecz od tamtej pory widział wszystko w tyłu odsłonach i powtórkach, że najbardziej chamskie grzechy opatrzyły się Mu kompletnie, więc teraz, gdy jest już stary i mądry, została Mu tylko nuda i obojętność. Jest wyrozumiały jak Czas — nie interesuje Go, co zrobię ja, co zrobi ksiądz czy kapitan Müller, widział to już bilion razy. Bądź spokojny, księżu — nie zauważy niczego.

Hawryłko otworzył usta dla riposty, gdy nagle komnatę wypełniło białe oślepiające światło, rozległ się grzmot tak silny, że zadrżały sprzęty, obrazy i naczynia, po czym zgasły wszystkie żarówki i zapanowała biblijna ciemność. Piorun uderzył w sam pałac lub tuż obok pałacu.



Krótko panowało milczenie. Rozbłysła pierwsza zapalka, druga, trzecia, a gdy rozbłysły zapalniczki — wróciła widoczność. Hrabia uspokoił zebranych:  
— Łukasz przyniesie świece, proszę panów.



# AKT V



Trzy trójramienne kandelabry o grubych świecach i dwie lampy naftowe dawały wystarczające światło. To światło modelowało twarze trochę upiornie przy pomocy żółtego blasku i kontrastów rodem z krypty lub z gabinetu czarnej magii. Wichura i ulewa, grając za szybami swój koncert, potęgowały atmosferę bliską tajemnicy masońskich łóż czy zebrań spiskowców, co chcą przebudować świat. Gdy wrócili ostatni „potrzebujący”, którzy udali się do toalety wykorzystując przerwę — wznowiono dyskurs.

— Panowie, czas mija, a my odbiegamy od tematu zbyt często! — rozpoczął mecenas Krzyżanowski. — Weźmy się za fakty, a porzućmy spekulacje.

— Pan pije do mnie, mecenasie?!... — fuknął profesor, czując wzrok Krzyżanowskiego na swoim obliczu.

— Do pana przede wszystkim, panie Stańczak! Nikt częściej niż pan nie ucieka tutaj od faktów ku spekulacjom.

— Filozof to człowiek, którego fakty, zjawiska i nazwiska nie interesują, on szuka praw!

— Ale pan nie został tu zaproszony jako filozof! — warknął Mertel.

— A jako kto?

— Jako obywatel Rudnika!

— To nie zmieniło mojej profesji. Dalej jestem filozofem, i mam zamiar pozostać nim aż do zgonu. Oczywiście za pańskim łaskawym przyzwoleniem, drogi panie!

— A bądź pan sobie filozofem dokąd pan chcesz, tylko nie kradnij nam pan czasu! Tutaj i teraz byłoby lepiej, gdybyś pan, zamiast filozofować, włączył się serio w dyskusję nad sytuacją, jaką Müller stwarza aresztowaniami i szantażami.

— Proszę bardzo — zgodził się Stańczak. — Dajmy Mullerowi tego „Precla” za profesora Stasinę; za hrabiczę dajmy jakiegoś ciężko chorego, któremu zostało tylko kilka dni wegetacji ziemskiej, doktor Hanusz z pewnością ma w szpitalu kilku takich...

— Nie wydam żadnego pacjenta! — sprzeciwił się twardo Hanusz.

— ... a za dwóch bojowników o wolność — kontynuował nie robiąc przerwy Stańczak — wydajmy Gestapo dwóch pedałów. Pedałów w Rudniku nie brakuje, jak zresztą wszędzie, a wszyscy wiemy, że są to ludzie bezwartościowi z reprodukcyjnego punktu widzenia. To mnie zresztą zawsze dziwiło: skąd się biorą pedały, przecież oni nie mogą się rozmnażać!



Malewicz, Mertel, Kortoń, Krzyżanowski i Bruś popatrzyli na siebie wymownym wzrokiem, kiwając głowami ruchem mającym demonstrować niesmak lub przypuszczenie, że profesor Stańczak utracił już wszystkie klepki.

Kłós wyraził dezaprobatę werbalną:

— To są propozycje z kiepskiego kabaretu! A ponieważ musimy znaleźć jakieś poważne rozwiązanie...

— Niczego nie musimy! — zaprotestował Sedlak.

— Owszem, musimy, to jest absolutna konieczność! — spiorunował go Mertel. — Towarzysz Sedlak nie widzi takiej konieczności, bo sierp i młot przesłoniły mu białego orła, lecz...

Sedlak zerwał się i krzyknął ku hrabiemu:

— Panie hrabio, albo ci ludzie przestaną mnie obrażać, albo ja wychodzę!

— A idź do diabła!... — mruknął pod nosem Kortoń.

— Panowie, jeszcze raz proszę o zaniechanie personalnych przytyków i o kulturę dialogu — rzeki Tarłowski. — Niech pan siada, naczelniku, a panów proszę, by hamowali się ździebko!

Sedlak nie usłuchał. Zamiast się uspokoić, próbował tokować dalej:

— Ci ludzie cały czas prowadzą..,

— Siadaj pan! — ryknął Tarłowski.

Sedlak siadł niczym posłuszny pies. Wówczas Krzyżanowski spytał:

— No więc... czy są jakieś propozycje względem wymiany?... Propozycje serio, bez żadnych umrzyków czy pederastów!

— Tak — zgłosił się Kortoń. — Proponuję Zyge.

Zapadła cisza. Zdziwiony nią Kortoń rozejrzał się wokół.

— No co?... Chyba wszyscy wiedzą kto to jest obywatel Zyga?

— Ja nie wiem — powiedział Malewicz.

— Jest pan tego pewien, panie radco?... — zdumiał się teatralnie Kortoń.

— Tak, jestem pewien. O co panu chodzi?

— Koledze chodzi o to, panie radco — wtrącił się Mertel — że pan Zyga to postać bardzo w naszym mieście znana. Szczególnie znana tym szacownym obywatelom, którzy zawsze mają trochę wolnej gotówki, by móc sobie przypomnieć młodość od czasu do czasu. Pan przodownik z pewnością objaśni pana precyzyjniej, panie radco.

Malewicz spojrział na Godlewskiego, a ten oświecił profana:

— Leon Zyga, ksywka „*Signore*”. To alfons, rozprowadza kurwy.

— Tak jest, to król miejscowych sutenerów, o którym się mówi, że działa bezkarnie, bo korumpuje policję — uzupełnił Sedlak.





- Że co robi?! — nie rozumiał granatowy funkcjonariusz.
- Że ma policję w kieszeni, panie przodowniku.
- To nieprawda! — zgrzytnął zębami Godlewski.
- Ja wcale nie twierdzę, że to prawda, panie przodowniku. Ja tylko powiedziałem, że ludzie tak mówią.
- Dlaczego tak mówią?!
- Pewnie dlatego, że ten gość uprawia swój proceder jawnie, i mimo to nigdy nie trafił za kratki.
- Co pachnie służbą dla Gestapo — zauważył Bruś. — Wielu konfidentów Gestapo kreci jawnie przeciwko prawu i nie można ich ruszyć..
- To byłoby fajnie, gdybyśmy wskazali Müllerowi do wymiany czterech jego kundli, co, panowie? — rozmarzył się Kłos.
- Müller by wtedy zademonstrował nam jak bardzo kocha słowiańskie poczucie humoru, ale ja, panie redaktorze, radziłbym nie sprawdzać głębi jego poczucia! — ściągnął Kłosa na ziemię Krzyżanowski.
- Zyga nie jest konfidentem Gestapo — oznajmił jubiler.
- Skąd pan to wie? — zapytał Hanusz.
- Akurat wiem, i kropka.
- Więc dlaczego jest bezkarny?
- Wszyscy spojrzeli na policjanta. Przodownik rozłożył ręce.
- Jak można go wsadzić, psiakrew, kiedy nigdy nie ma świadków?!... Kurwy zaprzeczają i klienci kurew też zaprzeczają!
- Dziwi się pan, drogi przodowniku? — spytał Kortoń. — Każdy by zaprzeczał, i każdy, kto korzysta z usług tego Zygi, będzie go bronił, co być może za chwilę usłyszysz pan tutaj.
- To znowu bezczelny szantaż, ja stanowczo protestuję! — wyrwał się Bruś.
- Jaki znowu szantaż? — zdziwił się Mertel.
- Taki, że teraz każdy, kto tutaj wyrazi sprzeciw wobec transakcji z Müllerem, będzie uchodził za klienta tego Zygi i jego flam! Ten numer nie przejdzie, proszę panów!
- Pan magister doskonale to ujął — wsparł go Sedlak. — Panowie Mertel i Kortoń ciągle wywierają nacisk, posługując się inwektywami i szantażami, strasząc i obrażając — wszystko razem to zwykła łobuzeria! Ja też sprzeciwiam się oddawaniu Müllerowi kogokolwiek, nawet tego alfonsa, chociaż nigdy nie spałem z jego prostytutką.



— Tylko z prostytutkami jego konkurentów, co? — zainteresował się Stańczak.

— Z żadnymi!... Nigdy nie spałem z prostytutką !

— Współczuję, pocziarzu — nie wie pan, ile pan stracił.

Kortoń usiłował przywrócić dyskusję o meritum wymiany:

— Zyga to zakała, proszę panów! To handlarz żywym towarem! Na drugą stronę oceanu wysyła biedne wiejskie dziewczyny, żeby harowały w burdelach Buenos Aires czy Rio de Janeiro.

— Pan taki oblatany, panie dyrektorze... — zakpił Stańczak.

— Tu nie ma z czego drwić! Zyga to łotr! Do jego kieszeni trafiają pieniądze, które obywatele Rudnika wydają na zepsute kobiety — pieniądze, które powinny być wydane na dzieci i na życie rodzinne!

Stańczak popukał się wskazującym palcem w czoło, mówiąc:

— Bzdura! Płatne dziwki są najtańszymi samicami globu.

— To ma być kolejny żart, profesorze?

— To jest kolejny fakt, kiniarzu. Nawet najdroższa kurtyzana, najkosztowniejsza hetera, będzie tańsza niż przeciętna połowica. Ta druga wysysa z człowieka tysiąc razy więcej, a do tego kaprysi, zrzedzi, szydzi, czepia się o byle co, i tak dalej, czego prostytutki nie robią. Moim zdaniem to również najuczciwsze kobiety globu, bo swoje kurewstwo zwą kurewstwem, bez strojenia fałszywych min i odgrywania pseudoromantycznych teatrzyków.

Doktor Hanusz zapytał Stańczaka:

— Pan to mówi jako praktyk, profesorze? Ile razy był pan żonaty?

— Ani razu.

— No właśnie.

— Co — no właśnie? Że nie mam w tym względzie doświadczenia? A jakie doświadczenia ma większość żonatyh głąbów?

— Różne, panie profesorze.

— Ja mówię o większości!... Złudzenie większości facetów polega na tym, że wydaje im się, iż żenią się z Ewą, gdy tymczasem poślubiają węża. Zresztą... już sama falliczna symbolika węża dowodzi, iż Adam był rogaczem, i że ten los został przypisany całemu rodzajowi męskiemu, proszę panów.

— Siedzą tu z nami małżonkowie, którzy się nie skarżą, jestem tego pewien — oponował Hanusz.

— Możliwe, medyku, możliwe. Ale oni nie robią w filozofii. Mnie trudno byłoby się obrączkować, bo żonaty filozof to figura z komedii del 'arte, więc robiłbym za pajaca włoskiego. Lubię wyśmiewać siebie i innych, lecz nie



zniósłbym, gdyby mnie wyśmiewano jako ofiarę losu. Mimo wszakże braku obrączki — wiem czym jest praktycznie małżeństwo, bo miałem żonatego brata.

Mertel uciął ten wywód, spojrzawszy na zegarek;

— Panowie, nie dyskutujmy o problemach małżeńskich, tylko o tym, czy należy tego Zygiel, który zmusza do nierzędu biedne dziewczęta...

— Nonsens! — parsknął filozof.

— Co jest nonsensem?

— Że zmusza.

— A nie zmusza?!

— Pewnie, że nie. Jak by tego nie lubiły, to by tego nie robiły.

— Robią to bez miłości, panie profesorze!... Czyli z musu!

— Gównu prawda! Kobieta nie potrzebuje miłości, kobieta potrzebuje spermy, to wszystko.

— Nie znam się na filozofii, panowie — wszedł do kłótni Bruś — ale byłem szczęśliwie żonaty, mam dwie córki, dwie siostry, znam niejedną damę... i twierdzę, że dla kobiety nie istnieje nic ważniejszego ponad miłość. Profesor Stańczak klepie oczywiste idiotyzmy.

Stańczak zrobił się purpurowy wskutek żywiołowego gniewu, pierwszy raz tego dnia. Lecz ripostę zaczął zimno, analitycznie, nieomal dzieląc sylaby, niczym oschły wykładowca lub kaznodzieja :

— Idiotyzm to słowo greckie, panie Bruś. W medycynie jest to termin fachowy, który oznacza „*najwyższy stopień niedorozwoju umysłowego*”. Wszakże nie ja winienem leczyć u siebie skutki tej choroby, tylko pan. Głędzi pan bowiem komunały nie mające nic wspólnego z biologią, czyli z rzeczywistością. Biologia ma pańskie sentymenty gdzieś — nie jesteśmy stworzeni do szczęścia, tylko do rozmnażania. Ale ponieważ rozmnażanie to duży ból i duży kłopot — rodzenie, karmienie, niańczenie, edukowanie et cetera — natura musiała wynaleźć jakąś sztuczkę zmuszającą do prokreacji, inaczej nikt nie chciałby się skazywać na tę drogę cierniową. I wymyśliła miłość, a precyzyjniej: orgazm i prowadzące ku niemu pożądanie, które ludzie naiwnie zwą uczuciem miłosnym. Tyczy to mężczyzn i kobiet w identycznym stopniu, lecz my teraz rozmawiamy o kobietach...

— Właśnie, właśnie! — przerwał filozofowi Mertel. — Rozmawiamy o kobietach, zamiast o więźniach Müllera!



— Robimy to nie bez powodu, gdyż panowie chcecie wydać Müllerowi niejakiego Zyge, bo stajnię pana Zygi tworzą płatne klacze — argumentował profesor.

— A według pana profesora wszystkie kobiety się od tych klaczy nie różnią!... Panie Stańczak, czy miał pan kiedykolwiek przyjemność wertować memuar damski?... Albo czy widział pan korespondencję miłosną dam ?... Albo choćby książkę napisaną przez kobietę? — spytał bojowo Bruś.

— Przez Helenkę Mniszkównę, Zosię Nałkowską lub Marynię Dąbrowską? Ileż tam o sercu i o tkliwym uczuciu! — prychnął Stańczak. — Lub wierszyki Pawlikowskiej—Jasnorzewskiej! To ma długą tradycję, pigularzu. Od średniowiecznego „Roman de la rose” baby bez przerwy gładzą, że najważniejsze jest serce, a nie kutas. Tymczasem zawsze facet z wielkim sercem jest przez nie odtrącany na rzecz faceta z wielkim fiutem, choćby ten był zawodowym mordercą czy ludożercą...

— To pewnie czkawka po przykrym młodzieńczym doświadczeniu... — szepnął mecenas w ucho hrabiego, osłaniając dłonią wargi.

— ...Kleją się do największych bydlaków i wybaczą im każdą nikczemność, pod warunkiem, że są przez nich dopchnięte jak trzeba. I to jest wszystko, co można rzec o kobiecej wrażliwości, pigularzu, więc ta literatura mnie nie interesuje. Baby kłamią — spuwentował Stańczak.

— Według ludzi pańskiego pokroju tylko kobiety kłamią! — uderzył Bruś.

— Nie, pigularzu, nie tylko. Lecz kiedy facet kłamie, to kłamie, a kiedy mówi prawdę, to mówi prawdę, gdy tymczasem one nawet kiedy mówią prawdę to kłamią. Z miłości zrobiły główne cesarstwo świata, a z serca jego berło. Rzeczywistość przeczy temu, bo jedyne realne cesarstwo, jakie znają kobiety, to cesarstwo, w którym kutas jest berłem. Kutas, penis, fallus, członek, chuj — jedyne argument, którym można dojść do porozumienia z kobietą; wyłączny język, który kobieta rozumie.

Nieoczekiwanie Godlewski poparł Stańczaka:

— Ja się zgadzam z profesorem, bo „dziewczynki” robią to, co lubią.

Ksiądz nie zrozumiał gwary:

— Jakie dziewczynki, synu?

— Mówię o tych... no, o dziwkach, co chodzą dla Zygi w miasto, proszę księdza.

— Ja również jestem tego zdania, co pan profesor i pan przodownik — dorzucił Kłos. — Może, i owszem, być taka prostytutka, która została



zmuszona w jakiś sposób, no i przez to jest nieszczęśliwa, i cierpi, ale to byłby zupełny wyjątek. Ten Zyga nie jest winowajcą, i nie jest krwiopiczą...

— Jest zwyczajnym zawodowcem, a gdyby nie robił tego, co robi, robiłby to ktoś inny — rzeki Stańczak. Dzięki tej profesji mniej mamy gwałtów, bo ona kanalizuje samczą zwierzęcość. Gorzej, iż nic nie kanalizuje głupoty samców, stąd całe to gładzenie o biedzie jako rajfurce prostytutki, i o tym, że każda prostytutka tęskni do życia zupełnie innego.

— A nie jest tak?! — uparł się Bruś. — Panowie, powiedzcie, może nie jest tak?

Stańczak zerknął nań z politowaniem.

— Jest odwrotnie, człowieku! Niejedna przyzwoita marzy, by być płatną kurwą, bo już po kilku latach nudy małżeńskiej wydaje im się to cholernie rajcujące i ciekawe, jak każdy zakazany owoc.

Wtórował filozofowi dziennikarz:

— Przed wojną, nim jeszcze objąłem „Gońca”, mieliśmy w redakcji „Głosu” koleżankę, która robiła reportaże o prostytutkach; zrobiła też parę wywiadów. Nawet się zaprzyjaźniła z kilkoma dziwkami. Kiedy zaczynała, sądziła to samo, co pan Bruś — że to bieda zmusza do...

— Zmusza! — trwał przy swoim Bruś. — Tak właśnie jest na całym świecie!

Śmiertelny cios zadał aptekarzowi lekarz:

— Nie, panie magistrze... Te upadłe kobiety i dziewczęta leczą się czasami w przychodni szpitalnej, znam je stąd i wiem jak to wygląda... Bieda istotnie nie jest główną przyczyną tego procederu.

— Oczywiście! — zatriumfował Stańczak. — Bieda jako rajfurka prostytutki to dziewiętnastowieczny przesąd uświęcony literaturą dla kucharek!

— Pięknie, niech wam będzie, panowie! — rozsierdził się Malewicz. — Ale powiedzcie mi — co ma do rzeczy to wszystko? Po co cała ta gadanina o kobietach? Jeśli ów Zyga je zmusza, to wydanie go Müllerowi będzie w porządku, tak? A jeśli same do Zygi lecą, to oszczędzimy pana Zyge, co?... Ja chwilami mam wrażenie, że nie jestem w domu pana hrabiego, tylko w domu wariatów!... Nawet pan, panie doktorze!

— Co ja, co ja?! — zaperzył się Hanusz. — Nie ja rozpocząłem ten dziwny dyskurs! Ale gdy już była o tym mowa, wtrąciłem się, bo uważałem, że sprawa ma dla panów znaczenie. Poparłem to, co wyłuszczył profesor Stańczak o naturze kobiet, bo miał słuszość — tej akurat świadomości kobiecej nie określa byt, tylko instynkt. Lombroso poświęcił tym



skłonnościom kobiecym jedną ze swych naukowych prac. Właśnie dzięki temu instynktowi kwitnie na całym świecie prostytutka, a nie wskutek biedy, przymusu czy cynizmu sutenerów.

— Dzięki temu instynktowi, ale i dzięki popytowi, bo bez popytu nie istnieje podaż — uzupełnił Kłos, dodając erudycyjnie: Sto lat przed profesorem Lombroso to samo pisał wielki praktyk, świetny znawca kobiet, markiz de Sade. Drukowaliśmy na ten temat artykuły w „Gońcu”. Sade pisał — jeśli dobrze pamiętam — że *„kobiety mają dużo gwałtowniejsze skłonności do lubieżnych uciech niż mężczyźni”*.

— Otóż to! — przytaknął Stańczak.

— Więc dla pana, panie profesorze, i dla pana, panie redaktorze, autorytetem jest twórca sadyzmu?! — wzburzył się ksiądz Hawryłko.

— Markiz de Sade nie był żadnym twórcą sadyzmu, niech się ksiądz nie ośmiesza! — zaprotestował dziennikarz.

— I niech ksiądz nie zabiera głosu, gdy mowa o płci pięknej, bo co ksiądz może wiedzieć w tej materii? — dodał filozof.

— Spowiadam niewiasty, dlatego wiem, że...

— Proszę nie ujawniać tajemnic spowiedzi, księżulku! To przecież zakazane spowiednikom!

— Chciałem tylko powiedzieć, że wiem, iż...

— Ksiądz nawet nie wie jak zbudowana jest kobieta, chyba że się ksiądz obejrzał podczas swoich narodzin! — przerwał księdzu ponownie Stańczak. — Ale to drobiazg w porównaniu z tym, że ksiądz nie zna kościelnych tekstów.

— Pismo Święte i ojcowie Kościoła traktują każdego jednakowo, i niewiastę, i mężczyznę! — wygłosił Hawryłko.

— Być może jakieś święte pisma i ojcowie jakichś Kościołów tak, ale nie ojcowie tego Kościoła, do którego należy ksiądz!... *„Przyczyną wszelkiego zła jest niewiasta”*; *„Kobieta to zwierzęca niedoskonałość”*; *„Kobieta to bezbożne furie chuci”*... Wie ksiądz kogo zacytowałem? Biskupa Maksimusa z Turynu, świętego Tomasza z Akwinu i Tertuliana! Każdy z tych świętych ojców akceptował zdanie poganina Hezjoda, iż *„Kobieta jest plagą, z jaką mężczyźni muszą żyć, jest straszną pokusą o mózgu suki i o naturze złodziejskiej”*...

— No proszę, marny tu chodząca encyklopedia antykobiecości! — uśmiechnął się (znowu krzywo) Sedlak.

— To przywilej ludzi czytających, drogi poczmistrzu! Zważywszy opinie autorytetów kościelnych, które cytowałem — proponuję, panowie, dać Müllerowi za czterech samców cztery baby do rozwalenia, co wy na to?



— Ja mam inną propozycję — zgłosił się Bruś, — Proponuję, żeby dać pana profesora do leczenia! Może kąpiele w zimnej wodzie by pomogły!

— A czemu nie w święconej, panie magistrze? — spytał Sedlak. — Ksiądz jest na miejscu, gdyby potrzeba było egzorcyzmów.

— Mnie chodzi o to — wyjaśnił Bruś — że ten człowiek robi sobie kpiny z życia ludzkiego.

— Nie z życia ludzkiego, tylko z tego sabatu, łaskawco — wzruszył ramionami Stańczak.

— Nie byłoby sabatu, gdyby pan, profesorze, zachowywał trochę więcej powagi kiedy roztrząsa się sprawy nie nadające się do kpin — rzekł Krzyżanowski.

— A jak mam tę powagę zachowywać, gdy obywatela Zyge przeżywa się tu handlarzem żywym towarem? Czy my, dyskutując kogo dać Müllerowi pod nóż, robimy coś innego aniżeli handel żywym towarem?

— No to mamy jasność — profesor jest przeciwny układom między panem hrabią a Müllerem, i nawet przeciwny całej tej dyskusji — stwierdził Hanusz.

— Ależ skąd! Nie jestem i nigdy nie będę przeciwny układom między hrabiami a gestapowcami, bo jak już mówiłem — mam w dupie kogo Szwaby rozwałą, a kto się ostatecznie dzięki kapryswi losu. I tej dyskusji też nie jestem przeciwny...

— To dlaczego nazwał ją pan sabatem?! — zdenerwował się Kortoń.

— Bo to jest rodzaj sabatu... Zresztą nie ja pierwszy tutaj użyłem tej nazwy... Ale czemu miałbym być przeciwko? Lubię ansamble zabawne. Żeby było jeszcze zabawniej, proponuję: głosujmy czy wydać alfonsa! Przy okazji zobaczymy kto ma dług wdzięczności wobec niego.

— Profesorze, pan chyba chce nas zniechęcić, a nie zachęcić do głosowania!... — ocenił Mertel. — Po co nas pan straszy? Może sam ma pan dług wdzięczności wobec tego Zygi...

— Ba! Gdybym miał, to bym się pysznił teraz, że niejedną jawnogrzesznicę potraktowałem lepiej niż Chrystus!

— Nie nadużywaj w ten sposób imienia Pańskiego, bracie! — skarcił filozofa ksiądz.

— Bóg mi wybaczy, proszę księdza, to jego zawód. Pod warunkiem, że w ogóle usłyszał, bo skąd pewność, iż jest między nami?

— Pan Bóg jest wszędzie?

— W Treblince również?

— To demagogia!



— Fakt. A więc jest wszędzie?

— Wszędzie!

— Rozumiem. Jest wszędzie, bo jest z definicji wszechobecny. Szkoda tylko, proszę księdza, że z istoty swej jest również milczący. To sprawia, że jako współuczestnik wszystkich retorycznych zebrań nie jest pełnowartościowym partnerem, bo co to za dyskutant, który unika dialogu?

— Pan Bóg przemawia inaczej...

— Bezgłośnie?

— Głosem innych.

— Rozumiem — głosem wybranych. Choćby głosem księdza...

— Mam nadzieję, że tak, bracie! Jestem przeciwny dawaniu Müllerowi ofiar, jakichkolwiek ofiar!

— I to jest „*vox Dei*”?

— Z pewnością taka jest wola Boża w tej sprawie!

— A gdzie była Jego wola we wrześniu trzydziestego dziewiątego?

— Bóg ingeruje inaczej...

— Tak jak w Katyniu i w Palmirach?

— Na miłosierdzie Boskie, przestań, człowieku, bluźnić wciąż!

— Oni też liczyli na miłosierdzie Boskie, wielebny!... Ci zamknięci w lochu Müllera liczą chyba bardziej na wykupienie lub na odbicie przez partyzantów. My wszelako już wiemy, że akcji zbrojnej nie będzie, bo inaczej panowie Mertel i Kortoń nie gardłowałiby tak mocno przy tym stole za panami Trygierem i Ostrowskim. Vulgo: wszystko teraz w naszym ręku. Co prawda tylko względem kilku bliźnich — czterech do dalszej egzystencji i czterech do bezzwłocznej eliminacji — lecz wszystko zależy od nas. Błogie uczucie wszechmocy! Jak to miło wyręczać Pana Boga, co, panowie?

Zasiał ciszę pełną lęku i niepewności. Nikt nie chciał się odezwać, więc Stańczak uznał, że pole zostawili jemu.

— Drodzy dżentelmeni, alternatywa jest nader prosta — albo głosujemy i mieniamy się z Müllerem, jak tego pragną pan hrabia, pan mecenas i grono bojowców, albo się wypinamy na Müllera, jak tego chcą pan magister, pan poczmistrz, pan radca i pan klecha. Nie znam tylko stanowiska pana redaktora. Gdy idzie o pana jubilera, to jestem pewien, że mimo swej małomówności głosowałby za wymianą...

Spojrzał pytająco na Bartnickiego.

— Jak będzie głosowanie, to się pan przekona, profesorze, czy pan zgadł — odparł chłodno jubiler.





— Wracajmy do naszych baranów. Mamy więc dwie opcje. Jeśli wybierzemy drugą opcję, vulgo: odmowę — to trzeba będzie szybko przystąpić do zbiorowych modłów, z nadzieją, że Pan Bóg pofatyguje się osobiście, by przywrócić w Rudniku sprawiedliwość. Mam rację, proszę księdza?

— Módl się, bracie, aby Pan wygnał szatana z twej duszy i z twego umysłu!

— Dlaczego ksiądz sądzi, że taki inkub mieszka we mnie?

— Bo słyszę, co gadasz! Od samego początku głupie gadasz rzeczy i diabelskie, bracie mój!

— Przecież wyraziłem wiarę w Boską wszechmoc, wszyscy tu obecni są świadkami!

— Prawie wszyscy tu obecni strofowali cię już, człowieku, za to, coś paplał! Wyraziłeś wiarę?... O nie — kpiłeś z Boskiej wszechmocy!... Tyś chyba oszalał lub oddałeś się cały diabłu!

— Upewniam księdza, że nie. Owszem, bywało, że zazdrościłem Faustowi, księżulu... Jednak wytrzymałem.

— Twoje słowa, całe to twoje jątrzenie, dowodzi czegoś zupełnie innego!

— Cały mój status, księżulu, od mieszkania do ubrania, dowodzi, że powiedziałem prawdę! Aczkolwiek wciąż choruję na brak gotówki — pozostaję istotą niezależną. Nikomu nie potrafiłem się zupełnie oddać, również diabłu, i dlatego nie zrobiłem takiej kariery jak ci, co w każdą niedzielę pędzą do mszy niosąc za pazuchą diabła lub kilku diabełków. A później, dzięki spowiedzi, zostawia się te diabły wewnątrz świątyni, i wychodzi się czystym jak dziewica. Pytanie matematyczne: ilu diabłów relegowanych spowiedzią z dusz pokutników mieści się na jednym metrze kwadratowym domu Bożego?

— Tak właśnie drwi każdy ateusz! — zagrział ksiądz. — Bluźnicie chętniej niż myślicie, łatwo wam to czynić!

— Nieprawda!... Wcale, ale to wcale nie jest nam łatwo — rzekł Stańczak ciszej, głosem teraz wyzbytym szyderczego tonu. — Najwredniejszy katolik stąpa sobie przez życie łatwiej niż najprzyzwoitszy ateusz, proszę księdza, bo wie, że doktryna ubezpieczyła go. Macie tych klap bezpieczeństwa bez liku — od krzyżyka na szyi kanalii po spowiedź, dzięki której kanalia zostaje wybielona.

— Ujadasz przeciwko nieskończonemu miłosierdziu Pana Boga, bracie, a więc przeciwko najpiękniejszemu dobru! — zauważył Hawryłko. — Trudno wierzyć, byś sam tego nie rozumiał, jeśli zatem agitujesz przeciwko dobru — czynisz to ze złej woli!



— Więcej jest we mnie bólu człowieka odtraconego własnym umysłem od ołtarzy, proszę księdza, niż złej woli... Nieskończone miłosierdzie!... Nieskończone miłosierdzie Boże jako fundament doktryny to chwyt genialny, zezwalający łamać każdy zakaz, każde etyczne przykazanie tysiąckrotnie, bez strachu, że utraci się nagrodę ostateczną. Jedno żarliwe „*mea pulpa*” pod koniec plugawego żywota uchyla łotrowi furtkę do Raju. Tym łatwiej wejdzie do Raju chrześcijanin, co żył uczciwie cały czas. Natomiast uczciwy ateusz musi być przyzwoity zupełnie darmo — wiesz jak to trudno? My nie mamy rajskich zaświatów ...

— My nie mamy czasu na takie religijne rozmowy! — zdenerwował się znowu Mertel. — Panowie, decydujemy, bo czas gra przeciw nam!

Hrabia wtórował mu głosem łagodniejszym:

— Tak, proszę panów. Dochodzi już północ, a my wciąż nie uzgodniliśmy wszystkiego...

— Właśnie! — przyłączył się Kortoń. — Najwyższy czas, by zdecydować! Więc kogo wymieniamy? „*Precel*”, Zyga i...

— Chwileczkę! — powstrzymał Kortonia Sedlak. — Jeszcze nie zadecydowaliśmy... nie było zgody co do samej wymiany!

— I nie było zgody co do Zygi! — przypomniał Bruś.

— Nie wolno się zgadzać na to, czego chce Müller! — ciągnął Sedlak. — Nie możemy przecież...

— Proszę mówić w swoim imieniu! — krzyknął Kortoń. — Liczba mnoga nie jest tu uzasadniona !

Odpowiedział mu, miast Sedlaka, ksiądz Hawryłko, i to głosem równie silnym:

— Jest! Jest uzasadniona! Nie wolno nam się zgodzić, bracia, na to, czego żąda zbir! Nie powinniśmy w ogóle rozpatrywać tego, żaden z nas nie może dopuszczać tej myśli, żaden! Kto to zrobi — ten wystąpi przeciw Bogu!

W ciszy, którą posiał swą groźbą Hawryłko, skrzyżowały się błyskawicznie spojrzenia gospodarza, adwokata i filozofa. Mecenasowi zaczęło świtać, że błędził piętując Stańczakowe błazenady, a wszyscy trzej zrozumieli, że wznosząc barykadę wysoko, do samych Niebios, ksiądz postawił bardzo trudny szlaban układaniu się z gestapowcem, i że koniecznie trzeba rozbić ten mur, bo inaczej głosowanie pod ciężarem Bożego gniewu przyniesie klęskę zwolennikom planów hrabiego. Stańczak już wcześniej pojął, że ten rodzaj szantażu może się okazać decydujący; Krzyżanowskiemu zaświtało to dopiero teraz (więc dopiero teraz zrozumiał czemu profesor wciąż handryczy się z



księdzem o sprawy Boskie). Sam był wierzący, lecz gdy już jasnym się stało, że problem Boga to w tej grze klucz do klęski lub do triumfu — podjął walkę osobiście:

— Słowem, według księdza, hrabia Tarłowski występuje przeciwko Bogu, pragnąc ratować swego syna, czy ordynatora szpitala, czy panów Trygiera i Ostrowskiego?

— Zostawmy to Panu Najwyższemu, bracia, w którego dłoni...

— Jest ksiądz tego pewien? — przerwał Hawryłce mecenas.

— Czego, synu?

— Że wszystko znajduje się w ręku Boga.

— Najzupełniej, synu.

— Wobec tego ksiądz jawnie bluźni. A dopiero co ksiądz piętnował rzekome bluźnierstwa profesora Stańczaka...

— Ja bluźnię?! — zaperzył się Hawryłko.

— Udowodnię to księdzu. Ksiądz był łaskaw stwierdzić przed chwilą, że absolutnie wszystko dzieje się Pan Bóg, co oznacza, że według księdza Pan Bóg dzieje również wszelakie zło. Inaczej mówiąc: każda zbrodnia, każda krzywda, każda nikczemność i każde cierpienie znajdują się w Bożym ręku. Zatem to Przedwieczny jest odpowiedzialny — jest winowajcą każdego zła!

— Ależ nie!

— Ależ tak — mówiąc, że wszystko jest w ręku Boga, ksiądz zwał wszystkie winy na Niego. Ja to mienię bluźnierstwem.

— Zło jest w rękach szatana!

— Brawo, to już postęp!... A może wszystko jest w ręce szatana?

— Ktoś, kto tak właśnie mówi, tkwi w niej na pewno!

— Przed chwilą powiedział ksiądz to samo o profesorze Stańczaku. Teraz okazuje się, że i ja działam z poduszczenia diabelskiego. Przyznam, że nie umiem tej możliwości wykluczyć, lecz jako prawnik znalazłbym dobre alibi dla siebie. Jeśli bowiem tkwię w łapie diabła — to nie przez własną słabość!

— A czyją?

— Boską, wielebny! Czy Bóg walczył z szatanem?

— Tak, i jak wiesz...

Krzyżanowski nie dał dokończyć księdzu:

— I jak wiemy obaj — poniósł klęskę, bo musiał zawrzeć z piekłem pakt, na mocy którego szatanowi przypadła Ziemia niby orny grunt!

— To kłamstwo, Pan Bóg nie zawierał żadnego układu z diabłem!



— Rzeczywiście, wielebny ma tu zupełną słusność — wsparł Hawryłkę Stańczak.

Zaskoczeni byli wszyscy, lecz ksiądz i adwokat najbardziej. Spojrzawszy jednak w źrenice filozofa Krzyżanowski się uspokoił i milcząco oddał mu pałeczkę tego biegu.

— Ksiądz ma słusność — kontynuował Stańczak — gdyż Pan Bóg nie zawierał z szatanem żadnych umów, wcale się z nim nie układał. Pan Bóg go stworzył! Tu rodzi się pytanie: po co Stworzyciel stworzył szatana? Odpowiedź jest prosta: bo bez niego byłby niepotrzebny. Gdyby nie istniało zło produkowane przez szatana — nie istniałaby przyczyna modłów o ratunek, czyli baza kultu! Tak to właśnie jest, panowie — w samochodzie Zbawiciela diabły pracują jako tłoki, tylko nie widać ich pod maską.

— Boże mój!... — szepnął Hawryłko — Nigdy nie byłem wyznawcą stosów.,.

— Ale mnie chętnie by ksiądz spalił — roześmiał się Stańczak. — I za co? Za to jedynie, że ufam Pismu Świętemu! Przecież jeśli wierzyć tym świętym księgom, a nie mamy innego źródła — to Pan Bóg stworzył szatana do wykonywania odpowiedniej roboty, bo sam nie chciał brudzić sobie rąk!

— Jakiej roboty?! — jęknął ksiądz z miną człowieka półprzytomnego wskutek bólu.

— Już mówiłem jakiej. Tej diabelskiej, proszę księdza, którą codziennie oglądamy wokół. Pan Bóg ją stworzył, a diabeł ją uprawia. Wszystko to jest opisane w Piśmie Świętym, radziłbym księdzu przeczytać; proszę mi wierzyć — warto. Tam właśnie stoi czarno na białym, że Pan Bóg jest twórcą zła.

— Kłamiesz! — zaskowyczał ksiądz.

— Nigdy nie kłamię, jeśli nie mam z tego korzyści. A jaką miałbym korzyść z przekłamywania Pisma Świętego? Czyż nie zostało tam powiedziane, że Bóg jest twórcą wszechrzeczy, proszę księdza? A nie może On być twórcą wszechrzeczy, nie będąc zarazem twórcą zła. Jeśli tak — to On stworzył księcia piekieł i On skazał Ewę na wydawanie dzieci strachu.

Przerwało filozofowi bicie zegara ściennego. W ciszy pełnej napięcia, w półmroku wonnym od aromatycznego tytoniu fajki profesora i od płonących knotów, a haftowanym dymem papierosów oraz cygaretek — rozbrzmiało dwanaście uderzeń niczym dudnienie dzwonów wieszczących Apokalipsę rudnicką. Gdy zegar zamilkł — filozof przywrócił realność, przywracając dyskurs:



— Rozważaliśmy czym dziełem jest ten podły świat. Jest on dziełem Stworzyciela naszego...

— Takim go uczynili źli ludzie, a nie Bóg! — zaprotestował ksiądz Hawryłko, wykrzesując resztki energii.

— Czyż nie głosicie z ambon, że ludzie stają się źli wskutek działalności diabła? A diabła, co ustaliliśmy przed chwilą, stworzył Stworzyciel, gdyż On stworzył wszystko na tym padole płaczu. Z czego wynika, że szatan to lokaj Pana Boga.

— Apage!!

— Ksiądz przeciwko mnie to mówi?

— Mówię to przeciwko diabłu, który w tobie siedzi i podjudza cię do gadania bzdur!

— Jakich bzdur, proszę wielbnego? Jeśli szatan...

— Szatan to upadły anioł, buntownik! A nie żaden lokaj Pana Boga, szalony człowieku!

— Dobrze, przyjmijmy chwilowo, że nie lokaj, tylko zwycięski buntownik. Zwycięski, bo wywalczył sobie niezależność i dysponuje wszechmocą jako operator zła. Będąc logikiem napotykam tu absurd logiczny — dwie istoty wszechmocne i wzajemnie się zwalczające bez rezultatu... Czy wszechmoc z definicji nie jest stuprocentowo skuteczna?... Widząc taki absurd wolę jednak uważać, iż diabeł to sługa lub współpracownik Przedwiecznego.

— Diabeł nie jest współpracownikiem, tylko wrogiem Zbawiciela, o czym wiedzą wszyscy, a ty tego nie wiesz, mózgowcu?!

— Jeśli tak, to znaczy, że diabeł jest górą. Świat pęka od zła, a Pan Bóg nie może temu zapobiec. Dusze milionów osobników są wiedzione przez szatana do zguby, a Pan Bóg nie umie temu przeciwdziałać, choć pono pragnie, aby wszyscy ulegli zbawieniu!

— Człowiek dostał od Pana Boga wolną wolę i winien sam bronić czystości swej duszy!

— Mój Boże, ja nie umiem nawet obronić czystości moich własnych myśli... — westchnął Stańczak. — Ciekawe od kogo człowiek dostał wszelaką słabość... No ale po to są kapłani, żeby człowiek mógł u nich szukać wspomnienia... Mnie, na przykład, dobrze by zrobiło logiczne wspomnienie ze strony księdza w sprawie nie tylko wszechmocy Boskiej, ale i wszechwiedzy Przedwiecznego. Pan Bóg, jako wszechwiedzący, czyli znający także przyszłość, musiał wiedzieć, że świat zamieni się w kupę gnoju, a większość ludzi w bydłeta. Czemu więc nie stworzył lepszego świata i lepszych ludzi,



tylko wyprodukował bubel? Jeśli zaś błąd produkcyjny był typowym „wypadkiem przy pracy” — czemu nie dokonał później korekty produktu? A jeśli nie dokonał to jakim prawem przypisujecie Mu wszechmoc?!

Tylko dla ostatniego zdania, puentując, Stańczak podniósł głos do prawie krzyku. Hawryłko odpowiedział mu równie gniewnym głosem:

— Gadaj zdrów! Całą swoją gadaniną nie zmienisz, przeklęty masonie, wielkości Zbawiciela! Nie odbierzesz Mu ani wszechwiedzy, ani wszechmocy!

— Gdzieżbym śmiał, proszę księdza! Niech ksiądz się nie boi...

— Ja się nie boję!

— ... Niech ksiądz się nie boi dialektycznego bełkotu filozofa. Proszę się raczej bać faktów. Choćby tych, które doktor Hanusz mógłby księdzu relacjonować w nieskończoność. Proszę go zapytać o dzieci konające na szpitalnych łóżkach i o rodzicielki próbujące u wszechmocnego Boga wyblagać zdrowie tych pędraków. Może Starzec ma kłopoty ze słuchem, więc te kobiety za cicho się modlą, co? Ale nawet przy kłopotach ze słuchem winien chyba słyszeć grzmot dział? Myślę tu, proszę księdza, o bitwach i o kapelanach dwóch walczących ze sobą wojsk. Taki kapelan cały czas modli się do Niebios, błagając, aby jego armia zwyciężyła. Dla Pana Boga te przedbitewne i bitewne modlitwy kapelanów muszą być bardzo krępujące, stwarzają bowiem dylemat: komu tu pomóc? A gdy jeszcze sztandary obu walczących stron są haftowane wizerunkami świętych czy wizerunkami samego Chrystusa Pana... Dzielenie miłosierdzia i wszechmocy między tych, co się wzajemnie nienawidzą lub próbują eksterminować — to dylemat ciężki jak sto diabłów, nie zazdroszczę Przedwiecznemu tej roboty, proszę księdza. I rozumiem, że w takich sytuacjach nie może On być wszechskuteczny jako pogotowie ratunkowe...

Ksiądz Hawryłko, miast kontynuować spór, złożył dłonie i bezgłośnie się modlił. To odebrało głos Stańczakowi i zapadła posepna cisza. Przerwał ją mecenas Krzyżanowski, chrząkając delikatnie (jakby pragnął wszystkich obudzić), a potem mówiąc:

— Cóż... Pan Bóg nie uwolni nas od obowiązku, panowie... Prowadziliśmy tu dyskusję na temat statusu diabła i roli diabła... Myślę, że dla każdego jest jasne, iż diabeł, z którym my mamy do czynienia, to Gestapo...

— A personalnie Müller! — uściślił Kortoń.

— Właśnie, infernalny Müller... Nie twierdzę, że przechytzymy Müllera, gdy wyrwiemy z jego łap kilku wartościowych ludzi, ale twierdzę, że poniechanie tego byłoby zbrodnią...



— To znowu rodzaj szantażu! — zaprotestował Malewicz. — Wypraszam sobie tę bzdurną paralełę!

— Panowie, ja proszę tylko o jedno — ciągnął niezrażony adwokat. — Proszę, byście jeszcze raz się zastanowili, czy życie nożownika i sutenera jest warte tyle samo, co życie ludzi, których możemy uratować dzięki wymianie.

— Nie jest warte tyle samo, ale ten fakt nie stanowi dostatecznego argumentu na rzecz wymiany! — oświadczył Bruś

— Słusznie — poparł go Malewicz. — Możemy wyżej cenić aresztowanych przez Gestapo, lecz nie możemy sami wydawać jakichkolwiek ludzi w ręce Gestapo!

— A nie pomyśleliście o tym, że zaniechanie takiej gry równa się wydaniu przez was w ręce Gestapo ludzi, których Szwab już aresztował i chce rozstrzelać? — spytał Mertel. — Pytanie jest proste: kogo warto ocalić, grupę patriotów czy grupę mętów?

— Pytanie jest czysto retoryczne — zauważył Kłos.

— A odpowiedź może być tylko jedna! — skwitował Kortoń. — Problem wszelako w tym, że nożownik i sutener to dwóch, a my musimy mieć czterech!... Proponuję tego kłusownika, który kiedyś postrzelił gajowego Kapereę. Nie znam jego nazwiska, lecz wszyscy wiemy, że kłusuje, i wszyscy wiemy, że pędzi bimber, którym rozpija chłopów...

Ksiądz przestał się modlić i krzyknął:

— Popełnicie śmiertelny grzech! Niewybaczalny grzech! Nie wolno wam ingerować w wyroki Opatrzności!

— Co ksiądz gada! — zdenerwował się Mertel. — Jak zasadzką leśną odbijamy chłopaka wiezionego na śmierć przez Niemców, to też ingerujemy w wyroki! I co — tego nam nie wolno, proszę księdza?!

— Twoja zasadzka, synu, i jej powodzenie, to jest właśnie wyrok Opatrzności. Ale nie wolno wam robić tego w taki sposób, w jaki dzisiaj chcecie! Nie wolno wam jednego niewinnego ratować od śmierci śmiercią drugiego człowieka!

— Dużo gorszego człowieka! — sprzeciwił się Kortoń.

— Kto wam dał prawo do takiego rozsądzania ludzi, bracie?! A jeśli uzurpujecie sobie to prawo — to jak tę uzurpację wytłumaczycie na Sądzie Bożym?!

— Teorią mniejszego zła, proszę księdza — rzucił filozof.

— Zostawcie to Panu Bogu, bracia...



— Zostawianie walki ze złem Panu Bogu było praktykowane od bardzo dawna, wielbny, przez dziesiątki wieków, i skutek jest żaden — nie ustąpił profesor. — A już trzy wieki przed narodzeniem Chrystusa facet o imieniu Epikur... Książdz wie kto zacz Epikur?

— Pewnie mędrak podobny tobie, bracie! — fuknął Hawryłko.

— Podobny, wszelako trochę bardziej hedonista niż ja. I Grek, a nie Słowianin. Jednak też filozof... No więc ów Grek, proszę księdza, stawiał kwestię mniej więcej w taki sposób: albo Bóg chce usunąć zło i nie może, albo może i nie chce, albo nie może i nie chce, albo może i chce. Dalej szedł rozbiór tych wariantów; jeśli chce i nie może — to jest słaby, co nie przystoi Bogu; jeśli może i nie chce — to jest nieżyczliwy, co również kiepsko pasuje do Boga; jeśli nie może i nie chce — to jest i słaby, i nieżyczliwy, a więc nie jest Bogiem; wreszcie jeśli chce i może, a tylko ta postawa godna byłaby Boga prawdziwego — to czemu na Ziemi jest tyle zła, czemu Bóg nie usuwa zła i producentów zła, czyli sukinsynów?

— Może chce, byśmy czynili to w Jego imieniu? — podsunął Krzyżanowski. — Może wspomaga tylko aktywnych, czynem walczących przeciwko złu świata? Do tego mamy właśnie okazję...

— Szatan podsuwa wam okazję do śmiertelnego grzechu! — zakwilił Hawryłko. — Wasze mniejsze zło jest omamem prowadzącym na manowce piekielne, bracia! Zostawcie sprawę Zbawicielowi! Niezbadane są wyroki Pana, i nawet to, co budzi nasze cierpienie, co nas boli, może być...

— Nawet musi być, proszę księdza! wycedził Stańczak, nie dając dokończyć księdzu, gdyż Krzyżanowski sygnalizował już wzrokiem konieczność uciszenia proboszcza. — Musi być tym złem, które na dobre wyszło, bo jak wiemy „*nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło*”, i wiemy również, że „*cierpienie uszlachetnia*”, zatem każde cierpienie uszlachetnia! A pamiętajmy i o tym, że przecież cierpienie otwiera ludziom bramy Raju, więc Müller jako rozwalacz ludzi pełni na Ziemi funkcję biletera Raju — funkcję dobroczynną! W Niebie ten sam Müller będzie zaś grał rolę pokutnika skruszonego i zbawionego, czyli ułaskawionego „*miłosierdziem nieskończonym*”. Formalnie więc może tam dochodzić do kolizji, gdy na niebiańskich deptakach ofiary Gestapo i NKWD będą spotykały gestapowców i enkawudystów. Ale czy będą miały obowiązek kłaniać się wszystkim przechodniom?

— Ten Müller za cholereę nie zostanie zbawiony! — zgrzytnął zębami policjant.





— Wolne żarty, przodowniku! Jeśli zostanie rozgrzeszony — a przez jakiegoś szkopskiego wikarego będzie rozgrzeszony, gdy tylko zechce pójść do spowiedzi — to zostanie zbawiony! Pamiętaj pan, że zdaniem Ewangelistów większa radość w Niebiesiech z jednego skruszonego łotra...

— Ale Pismo Święte mówi, że prędzej wielbłąd przejdzie przez igielne ucho niż łotr wejdzie do Nieba! — popisał się erudycją Godlewski. — Mam rację?

— Prawie, przodowniku, bo tam chodziło nie o łotra, tylko o bogacza, który będzie miał trudność przy wchodzeniu do Królestwa Niebieskiego. Notabene mało kto wie, że ten fragment Ewangelii mówi o bramie, a właściwie o furtce w murach Jerozolimy, furtce zwanej „*uchem igielnym*”, gdyż tylko pieszy mógł się nią przecisnąć. Zaś bogacze, jeśli dobrze pamiętam, przez parę wieków kupowali sobie w Kościele całkowite odpuszczenie wszelkich grzechów, nawet „*in blanco*”, czyli po kres żywota. Mieć odpust wszelkich grzechów z góry, zanim się je popełniło — to mi się podoba, księżulu!

— Tych... tych starodawnych błędów Kościół już nie... — próbował tłumaczyć Hawryłko.

— Tak, tak, to już prehistoria. Ale wciąż aktualna jest zasada, że większa radość w Niebiesiech z jednego skruszonego łotra niż ze stu ludzi świętych. Wasz Bóg bardzo się ucieszy mogąc przytulić kapitana Müllera...

— Dostyc tego! — spiorunował filozofa Malewicz, widząc, że Hawryłko znowu ukrył twarz w dłoniach i pochylił głowę. — Dostyc już!

— Jestem identycznego zdania — rzekł Bartnicki. — Pan profesor posuwa się za daleko...

— Doprawdy, waluciarzu?

— Tak, panie profesorze. Przy całym szacunku dla pana erudycji i logiki — ja również nie mogę już tego słuchać. Po co pan się tak znęca nad księdzem proboszczem?

— Drogi waluciarzu...

— Czemu pan się pozwala zwać „*waluciarzem*”, panie Bartnicki? — rozgniewał się Kłós.

— Bo jestem waluciarzem, panie redaktorze, więc to mnie nie obraża.

— A mnie obraża, gdy pan Stańczak mówi: „*pigularzu*” — zawołał Bruś.

— Tak jakby nie był pigularzem! — prychnął Stańczak. — Lub jakby pan Kłós nie był pismakiem! Czy pana obraża termin „*glina*”, panie przodowniku?

— A glinuj se pan, profesorze — wzruszył ramionami Godlewski. — Lecz może już nie napadaj pan księdza proboszcza, co?



— Pytałem właśnie pana Stańczaka dlaczego to robi — przypomniał jubiler.

— Dlatego, że ksiądz proboszcz, strasząc nas śmiertelnym grzechem, nie tylko mija się z prawdą, ale znowu bluźni, gdyż neguje całą istotę bytu swego Boga, cały Jego sens istnienia, Jego zawód!

— Jaki zawód?

— Pan się chyba urywał na wagary z lekcji religii, przyjacielu!... Mówiłem już — tym zawodem, tą profesją, tym sensem istnienia Chrystusa jest wybaczenie! — stwierdził filozof.

— Tak jest, profesor ma słuszość! — przytaknął Krzyżanowski. — Możemy bez obaw podjąć decyzję w sprawie więźniów Müllera, i to nam wcale nie zamknie drogi do Raju!

— Absolutnie nie zamknie, panie mecenasie — potwierdził Stańczak. — Niebo jest pełne skurwysynów, którym wybaczone.

Krzyżanowski osłupiał i zrobił się błąd jak człowiek policzkowany soczycie. Patrzył na filozofa wzrokiem pełnym wyrzutu, niczym spiskowiec piętnujący zdradę partnera. Nie wiedział co jeszcze rzec. Wyrezył go Sedlak:

— No to chyba powiedzieliśmy sobie wszystko, proszę szanownych panów... Nie mam zamiaru dalej uczestniczyć w tej błazenadzie i strzepić języka po próżnicy.

Wstał, odsuwając krzesło, a prawie równocześnie uniósł się radca Malewicz, mówiąc:

— Wychodzę z panem, panie naczelniku.

— Jaka piękna komitywa! — klasnął w dłonie Mertel. — Nie wiedziałem, że i pan radca jest towarzysz. Przy okazji wyszło z worka czerwone szydło!

— Z pańskiego łba nigdy nie wyjdzie patriotyczne mydło i powidło, które przyćmiewa panu rozsądek, bo chyba nie rozum! — odwarkną! Malewicz. — Nie jestem komunistą, ani nawet socjalistą czy zwolennikiem jakiegokolwiek lewicy, co wszakże tutaj nie ma znaczenia. Tu znaczenie ma taki lub inny stosunek wobec układania się z Gestapo. Nie przyłożę ręki do tego niezbyt zbożnego dzieła!... Owszem, chciałem dyskutować, przekonywać kolegów, ale widzę, że to istotnie bezcelowe. I zbyt męczące, już prawie druga, muszę wypocząć.

Skrzypnęło trzecie krzesło odsuwane od stołu — krzesło lekarza.

— Ja też nie zostałem przekonany, panie mecenasie. Pan daruje, panie hrabio... I proszę nam nie wmawiać, że opuszczając to posiedzenie skazujemy profesora Stasinę, bo to demagogia!



Bruś podniósł się jako czwarty i zwrócił do Kortonia oraz Mertla, świdrując tego drugiego wyzywającym wzrokiem:

— Proszę nas też nie przekonywać o obowiązkach patriotycznych, szanowni wodzowie sił zbrojnych Lechistanu! To już nie podziąła, a wasze zawoalowane groźby mam gdzieś!

— Bardzo pan dzielny, panie magistrze! —zadrwił ponuro Krzyżanowski. — Jednak, moim zdaniem, uciekanie przed odpowiedzialnością znamionuje tchórzów!... Powiedzcie no, panowie uciekinierzy — czy widzicie jakąkolwiek inną niż wymiana szansę na uratowanie tych czterech?

— Jest chyba taka szansa... — zawahał się Malewicz,

— Proszę mówić, słuchamy, panie radco.

— Trzeba twardo powiedzieć temu Müllerowi, że w grę wchodzi tylko wykupienie czterech zakładników, bez wskazywania kogokolwiek na ich miejsce.

— Kapitan Müller się nie zgodzi — rzekł hrabia. — Mówił jasno, że bez wymiany nie dojdzie do transakcji, nie będzie żadnego układu.

— Nie zgodzi się?... Jeśli się nie zgodzi, to osiemdziesiąt tysięcy dolarów przejdzie mu koło nosa! Sądzicie, że on nie umie liczyć? Że będzie taki głupi, by machnąć ręką na fortunę?

— Jasne, że nie będzie! — uradował się Godlewski. — Müller nie jest idiotą, nie zrezygnuje z takiego łupu!

Bartnicki był podobnego zdania: — Może to nie jest pewne jak dwa plus dwa równa się cztery, ale bardzo prawdopodobne.

— I ja tak uważam! — doszłusował Kłós. — Müller się zgodzi, na pewno się zgodzi!

Perspektywa honorowego wyjścia odprężyła twarze. Coraz więcej źrenic promieniowało ulgą. Krzyżanowski był trochę skonfundowany, ale nie protestował:

— Cóż, jeśli tak panowie uważacie... A pan, panie hrabio?

— Ja podporządkuję się każdej decyzji, którą panowie uzgodnicie; w tym celu zaprosiłem was do mojego domu. Mam wszakże warunek — decyzja musi być jednogłośnie.

— To może być trudne — zmartwił się Kłós.

— Tak, ale chcę mieć werdykt jednogłośny.

— Dlaczego trudne? — spytał Bruś. — Do tej propozycji nie może być zastrzeżeń, jest najlepsza.



Hanusz kiwnął potakująco głową. Krzyżanowski zaczął Sedlaka, jedyne­go dysydenta, który wciąż nie wyraził aprobaty:

— A pan, panie naczelniku? Czy to rozwiązanie razi pana?

— Nie, to dobry pomysł... Trzeba było od tego zacząć, a oszczędzilibyśmy sobie kupę nerwów i głupich słów, panie mecenasie.

— Więc proszę do stołu, spełnijmy formalność — dyrygował Krzyżanowski. — Będziemy głosować, proszę panów.

Radca, lekarz, jubiler oraz naczelnik poczty wrócili do stołu i usiedli.

— Będziemy głosować przez podniesienie rąk. Kto jest za...

Nim zdążyli unieść ręce, gospodarz przerwał Krzyżanowskiemu:

— Chwilka, panowie, zapomniałem poinformować panów o czymś ważnym. Chcę uprzedzić, że jeśli koncepcja pana radcy Malewicza zostanie przegłosowana, to ja ją wykonam na pewno. Powstrzymać mnie nie będzie już mogło nic!

— Przecież żaden z nas w to nie wątpi, panie hrabio — oznajmił Hanusz.

— Nie wiem, czy pan mnie dobrze zrozumiał, panie doktorze. Ja uprzedzam, że jeśli tę propozycję przegłosujemy, to zostanie ona bezwzględnie wykonana.

— Co to znaczy: bezwzględnie? — zaniepokoił się Bruś.

— To znaczy, że bez względu na wszelkie późniejsze obiektywne zjawiska lub na deklaracje panów. Gdyby któryś spośród panów dla jakichś przyczyn cofnął potem swój głos — będzie za późno, bo ja wykonam to, co zostało przegłosowane.

— Dlaczego ktoś miałby cofać swój głos? — zapytał Bruś, patrząc dookoła. — Jeżeli to się uda, ocalimy czterech ludzi nie świniać swoich sumień — czyż może być coś lepszego w tej sytuacji, proszę panów? Byle tylko Müller się zgodził na to.

Godlewski poklepał dłonią kolano, pełen entuzjazmu:

— Kurka wodna, nie ma co się bać! Zgodziłby się nawet za połowę tej forsy!

— No to głosujemy, proszę panów! — obwieścił Krzyżanowski. — Kto akceptuje propozycję pana radcy Malewicza — niech podniesie rękę!

Trzynaście dłoni zawisło nad głowami. Krzyżanowski podziękował współuczestnikom i podsumował:

— A więc jest decyzja, proszę panów! Dzięki Bogu! Już wątpiłem w znalezienie wspólnej platformy...

— Kamień z serca! — rozradował się Kłos. — Trzeba to opić, panowie!



Godlewski i on chwycili karafki, napełnili wszystkie kieliszki i czekali aż hrabia lub mecenas wzniesie toast, a tymczasem Stańczak odezwał się minorowo:

— Jeśli mam jutro umierać...

Przerwał, by popatrzeć na swój zegarek i na zegar ścienny.

— ... Oh, pardon, to już dzisiaj, proszę kolegów... No więc jeśli mam dzisiaj umrzeć — wypiję z przyjemnością, bo może to być ostatnia moja przyjemność w tym wcieleniu.

Bartnicki pierwszy zwerbalizował ogólną ciekawość :

— Dlaczego miałby pan umrzeć, panie profesorze?

— Bo każdy musi umrzeć, drogi waluciarzu, to jedyny pewnik człowieczej egzystencji.

— Ale dlaczego miałby pan umierać właśnie dzisiaj ?

— Dlatego, że Müller istotnie może połasić się na tę górę dolarów bez dodatku, czyli bez czterech ofiar wskazanych w celu zamiany przez pana hrabiego. A to będzie oznaczało, że czterech spośród tu siedzących jeszcze dzisiaj pożegna się z życiem.

Znowu nieme pytanie zadało jedenaście par oczu, gdy dwunasty słuchacz, policjant, zapytał ustami:

— O czym pan mówi, panie profesorze?!

— Mówię o tym, gliniarzu, że pan hrabia spełni dużą część, ale nie całość żądań kapitana Müllera. Z wielkim prawdopodobieństwem można tedy sądzić, że Müller przez chciwość zaakceptuje to. Zaaakceptuje klnąc w duchu, lecz zaakceptuje. I co nastąpi wówczas? Po sprzedaniu panu hrabiemu czterech zakładników Müller będzie miał bilans rozchrzaniony, vulgo: niedobór, będzie więc musiał aresztować czterech innych ludzi, żeby uzupełnić swoją dziesiątkę. I kogo wybierze? Znamy już jego kryteria wyboru — Müller sięga tylko po czołowe figury Rudnika. Zrobił tak wczoraj, i dzisiaj uzupełni dziesiątkę w ten sam sposób. A wszystkie jeszcze nie aresztowane figury Rudnika siedzą przy tym stole.

Profesor skończył, wziął serwetkę i wytarł ślinę dookoła ust. Panowała cisza, gdyż słuchaczy sparaliżowało przemówienie pełne nieodpartej logiki. Mimo to Godlewski rzekł z nadzieją:

— Może tego nie zrobi, jak Boga kocham!...

— A co robi?! — krzyknął Bruś.

— Może aresztuje pierwszych lepszych, na ulicy... — podsunął Kłos.

— Założy się pan, redaktorze? — spytał Krzyżanowski, gasząc papierosa.



— Mamy do czynienia z sadystą! — przypomniał Kortoń. — Ze zwyrodniałą bestią!

— Gówno prawda, mamy do czynienia z typowym gestapowskim służbistą, i z nietypowym, bo zbyt zachłannym łapownikiem, to wszystko! — sprzeciwił się Malewicz.

— Może jednak nie zrobi... — powtórzył Godlewski, ocierając czoło z potu.

— Zrobi! — uciał paplaninę Stańczak. — Zrobi to tym łacniej, że będzie wściekły, iż nie wypełniono jego drugiego żądania, proszę panów. Ergo — czterech spośród nas to już żywe trupy. Byłoby szczęściem w nieszczęściu, gdyby Müller zdecydował się na mnie i na księdza, bo tylko my dwaj nie mamy rodzin, żadnych żon, dzieci czy wnucząt, więc tylko po nas dwóch nie zostałyby wdowy i sieroty w Rudniku. Ale obawiam się, że kapitan Müller może nie brać tego pod uwagę. Radziłbym wszystkim tatusiom udać się teraz do domów dla odprawienia rytualnych ceremonii.

— Jakich ceremonii?! — spytał mokry z przerażenia Kłos.

— Pożegnalnych, redaktorki:. Wie pan — buziaki, testamenty, dobre rady życiowe dla synów i córek, et cetera. Aha, byłbym zapomniał — trzeba też wskazać połowicom lub potomstwu skrytki z twardymi i miękkimi. Niektórzy ujawnią te Sezamy niepotrzebnie, ale taka już jest natura loterii — ktoś wygrywa, a ktoś inny dostaje w dupsko... I radzę się spieszyć, bo za kilka godzin dla czterech będzie już zbyt późno, proszę panów.

Żadna wcześniejsza milcząca przerwa w dyskusji nie była tak głęboka. Kilku popatrzyło na Hawryłkę, ale ten opuścił głowę i znowu bezgłośnie się modlił.

— Nie radziłbym pryskać do krypty lub do zakrystii, raczej do knieji, proszę kolegów — poradził Stańczak, ziewając szeroko.

— Uciekać do lasu?! — zdumiał się lekarz.

— Woli pan do grobu? — spytał Kłos.

— O szpital nie musi się pan martwić, doktorze — pocieszył lekarza filozof. — Profesor Stasinka da sobie radę bez pana.

Malewicz złapał się za głowę, wzdychając:

— To wszystko nie ma sensu!

— Chyba, że... — chciał rozwinąć jakąś myśl Sedlak.

— Proponuję wrócić do dyskusji — uprzedził go Mertel. — Pan dyrektor Kortoń wspomniał o tym kłusowniku—bimbrowniku, jak mu tam?...

— Nie wiem, nie znam nazwiska tego faceta, panowie — rzekł Kortoń.



— Ja znam — mruknął Godlewski. — Basiniec... Basiniec Józef, proszę panów...

Na dworze grzmiąły wichura i ulewa, niczym „*fortissimo*” trąb zwiastujących Sąd Ostateczny.



# **Akt VI**





Gdy na dworze mroczna początkowo szarość stawała się coraz przejrzystsza, w sali jadalnej pałacu zostało tylko dwóch ludzi — hrabia i filozof. Stańczak miał już za sobą zmęczeniowy kryzys, a przed sobą drogę do pustego domu, więc wcale mu się tam nie spieszyło. Pomyślał, że spieszyć się winien Tarłowski:

— Musi pan stąd uciekać, panie hrabio.

— Czemu miałbym uciekać?

— Bo wkrótce wmaszerują tutaj Sowieci. Oni „panów” nie lubią. Powieszą pana na tym żyrandolu, i zdeklasują panu syna. Będzie czyścił buty władcom czerwonej Polszy, która nastanie jako gubernia sowiecka rządzona przez Sedlaków i innych bydlaków, czyli przez kolaborantów vulgo renegatów, co się tu rozmnożą jak szczury i będą pić krew tego narodu jak wszy nigdy nienasycone. W Rudniku carem będzie towarzysz Bronek, nasz ukochany poczmistrz... Da nam niezły wycisk...

— Panu też, profesorze... więc i pan winien uciekać.

— Jestem za stary, za zmęczony i za leniwy, by uciekać przed czerwoną hołotą, przed całą tą komunistyczną dżumą, ale hrabiom radzę to zrobić, bez żartów. Potoccy już się pakują i wyjeżdżają z Łańcuta...

— Dokąd?

— Nie wiem. Podobno najpierw do Wiednia, a później dalej ku Zachodowi.

— Przy pomocy Niemców?

— Chyba tak... Pan też mógłby wykorzystać swoją komitywę z Müllerem. Za drugą kupkę dolarów...

Hrabia machnął ręką.

— Nie mogę teraz myśleć o tym! Łeb mi pęka po tej ohydnej dyspucie!

— Ohydnej ? Ja ją uważam za nader ciekawą. Wręcz odkrywczą!... I rozrywkową jak cholera. Wszystkiego mogłem się spodziewać, panie hrabio, ale że myśląc o ratowaniu aresztowanych będziemy się kłócić także o baby, o pleć i o chuć — tego bym nawet po pijanemu nie przewidział! Wśród wszystkich idiotycznych wątków naszej dyskusji — ten był najidiotyczniejszy. W pewnym momencie przestraszyłem się, że pani hrabina zbeszta towarzystwo...

Obaj zerknęli ku fotografii stojącej pod lustrem.

— Zrobiłem to wszystko dla niej, panie Stańczak... — szepnął Tarłowski.  
— Była cudowną kobietą... Piękną, ale i rozumną...

— Rzadka rzecz u dam — skomentował wyznanie filozof. — ... Na ogół damy „myślą spodem”, jak twierdzi pewien mój kuzyn.



Zniecierpliwiony hrabia machnął ręką i wykrzywił gniewnie kąciki ust:

— Profesorze!... Już pan nie musi takim gadaniem zamulać im głów — już ich tu nie ma!... Zresztą wszyscy myślimy genitaliami, i mężczyźni, i niewiasty, więc dlaczego tylko z kobiet się kpi, że „*kobieta myśli macicą*”!

— Może dlatego, że macica jest mądrzejsza niż kutas. Szydząc bierzemy odwet...

— Ja nie należę do tych szyderców! — warknął Tarłowski.

Skarcony profesor zamilkł. Hrabia również zamknął się w sobie. Siedział na swym inwalidzkim wózku, trzymając głowę lekko przechyloną, jakby próbował łowić uchem dalekie, cichnące tony fortepianu. Przy nim, na blacie stołu, leżały cztery pliki banknotów dolarowych (każdy plik opasany gumką aptekarską), lecz on ich nie widział — miał rozwarty wzrok ślepców, mistyków i ludzi pragnących wyzwolenia śmiercią. Filozofa musiało to wreszcie nastraszyć. Zaniepokojony spytał:

— Panie hrabio, czy pan się dobrze czuje?... Hrabia, miast odpowiedzi, skinął leciutko głową.

— O czym pan myśli, panie hrabio, jeśli wolno zapytać?

— O synu...

— Wkrótce go pan ujrzy.

— ... i o tym, że to pan uratował mi syna...

— Chyba moja niewyparzona gęba, panie hrabio!

— ... i jeszcze o czymś... — Tak?

— ... „*Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni*”.

— Przez kogo? Nikt nie będzie o tym wiedział. Żaden nikomu się nie pochwali — ze wstydu, panie hrabio! Również my dwaj.

— Bóg będzie o tym wiedział. Zapomniałeś o Bogu, profesorze!

— To raczej Bóg zapomniał o nas, drogi hrabio. Widocznie się pogniewał czytając lub słuchając Szekspira.

— Co mówisz?

— Mówię, iż podsłuchiwał jak Makbet klnie, iż „*świat jest opowieścią idioty*”. Szekspir miał słuszność, prawda?

— Nie mnie sądzić, profesorze.

— A komu jak nie ludziom? To przecież my musimy żyć w tej fabule Przedwiecznego Stworzyciela, do cholery! My musimy tańczyć na deskach tego upiornego kabaretu! My musimy znosić wszelkie okropieństwa tego scenariusza wyzbytego sensu, logiki, godności, przyzwoitości i prawdy! Chyba że pragniemy Nazarejczyka w ką, w niebyt, i uznamy, że biologia, natura,



bezpoczątkowa plazma kosmiczna jest bóstwem! Zapiszmy się do panteistów, drogi hrabio!... Albo uwierzmy Szekspirowi...

— Wierzyłem Szekspirowi odkąd w studenckim teatrzyku, na Uniwerku Lwowskim, wystawialiśmy „Hamleta”, profesorze.

— Pan grał Hamleta?

— Tylko jako dubler, gdy mój kolega był chory. Tu, w pałacowej bibliotece, mam całego Szekspira. Nie tłumaczenia, lecz oryginały. Jednak fraza Makbeta to tylko błyskotka słowna mistrza dramatu. Nie zwerbuj mnie pan do ateistów, proszę się nie wysilać, nawet zgon syna nie odebrał by mi Trójcy Świętej. Może tylko twarze tych ludzi odbiorą mi sen przez pewien czas...

— Jakich ludzi? Tych, których rozstrzela Gestapo?

— Nie, twarzą tamtych ludzi nie znam. Mówię o ludziach, których zaprosiłem wczoraj do stołu... Widział pan ich twarze, gdy wychodzili?

— Cóż w tym dziwnego? Każdy z nich właśnie przestał być człowiekiem. Lub, ściślej rzecz biorąc — właśnie stał się człowiekiem. I każdy z nich wie o tym.

— A pan, profesorze?

Stańczak roześmiał się i rzekł cierpko: —Ja?... Panie Tarłowski — ja już bardzo dawno utraciłem wobec siebie wszelkie złudzenia. Lecz oni stracili resztę złudzeń właśnie dziś. Mówiąc: oni — mówię także o panu. Wszyscy macie teraz świadomość, że jesteście skurwysynami, i że niewiele różnicie się od Szwaba. Jeżeli Müllerowi chodziło głównie o to, a zakładam, że tak — to osiągnął swój cel... Müller właśnie wygrał tę wojnę, panie hrabio.

Gospodarz nie miał ochoty kontynuować dialogu. Zastygł bez ruchu i patrzył tępo nie wiadomo gdzie. Gość zrozumiał, że czas wyjść. Uznał jednak, że nim wyjdzie, musi jeszcze raz wlać w siebie nalewkę Tarłowskich hrabiów. Sięgnął po karafkę i przechylił, lecz do kieliszka skapnęło tylko kilka kropeł. Wstał i chwycił drugą — ta dała kilkanaście kropeł. Trzecia tyle samo lub może nawet o kroplę więcej. Łącznie uzbierał pół kieliszka i rozlał to wokół języka, żegnając błogi smak. Później wyjął z kamizelki zegarek i sprawdził czas lustrując zegar ścienny.

— Za dwie godziny przyjdzie kapitan Müller... Świta już, kłaniam się, panie hrabio.

Ruszył do wyjścia krokiem stanowczym, mimo że trochę chwiejnym. Nacisnął klamkę, otworzył drzwi i już miał przestąpić próg, gdy raptem jakaś myśl go zatrzymała. Odwrócił się, by powiedzieć głosem zupełnie trzeźwym:



— Wie pan co jest najgorsze, panie hrabio? Najgorsze nie jest to, że ludzie oszukują. Najgorsze jest to, że każde oszustwo ma jakieś usprawiedliwienie. I wyszedł, zamykając drzwi.



# AKT VIII



Pisk hamującego samochodu przepłoszył ptaki figlujące rankiem w krzewach ogrodowych. Hali wejściowy pałacu rozbrzmiał echem dzięki uderzeniom butów Müllera. Gestapowiec wkroczył do salonu prowadząc hrabicz Tarłowskiego. Salon był pusty, lecz po chwili kamerdyner Łukasz wtoczył wózek z gospodarzem.

— Witam, panie hrabio — rzekł kapitan. — Ładny mamy ranek, tyle słońca i tyle orzeźwiającego chłodu po ulewie!... A pańska zguba się znalazła cała i zdrowa, jak pan widzi.

Tarłowski nie odpowiedział, tylko wyciągnął ramiona ku chłopcu. Hrabicz przypadł do wózka i klęknął, mamrocząc przez łzy:

— Papo!... Oh, papo!

— Nic ci nie jest, synku?

— Nic, papo.

— Nie bili cię?

— Nie, papo. Ale bałem się o ciebie, bo nie wiedziałem czy też jesteś uwięziony...

— Nie byłem aresztowany, synku... No dobrze, teraz idź na górę, umyj się, przebierz i odpocznij. Pewnie nie spałeś?

— Tam nie można zasnąć.

— Więc się wyśpij, Mareczku. Porozmawiamy później, przy obiedzie. Lub po kolacji, jeśli będziesz spał do wieczora.

Ucałował syna w czoło, a syn ucałował rękę ojca i zniknął. Müller, który podczas ich dialogu stał przy lustrze, kontemplując brytyjskie hasło Nelsona zmodyfikowane przez Rudnik — cofnął się do stołu, usiadł i milcząco palił, założywszy nogę na nogę gestem człowieka triumfującego.

— Przyjechał pan wcześniej, panie Müller — odezwał się Tarłowski. — I przywiózł mi pan syna. To znaczy, że był pan pewien, iż pańskie żądania zostaną spełnione...

— Nie byłem pewien, w każdej grze jest ryzyko. Przyjechałem wcześniej, bo później mam pilne sprawy do załatwienia, a przywiozłem panu syna, bo nie jest mi już potrzebny. Przyjechałem, żeby wziąć ustalony okup, panie hrabio.

Tarłowski wyjął z kieszeni szlafroka dwie kartki papieru. Trzymał je kilka sekund w drżącej dłoni zanim rzucił je na blat, mówiąc:

— I po te dwie listy aresztantów.

Müller wzruszył epoletami.

— Również nie są mi potrzebne.

Źrenice Tarłowskiego rozszerzyły się bardziej ze strachu niż ze zdziwienia.



— Potrzebni mi byli bandyci, których nie mogłem dopaść, członkowie Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych — wyjaśnił Müller. — Długo się to nie udawało. Teraz mamy tych bohaterów. Ostrowskiego, Kortonia, Mertla i Trygiera. Moi chłopcy bez przerwy kontynuują z nimi dialog, chociaż wątpię czy da się u tej czwórki wycisnąć coś więcej, tyle już zaśpiewali w ciągu zaledwie stu minut... Okazuje się, panie hrabio, że fizyczna wytrzymałość waszych rycerzy jest kompromitująca! Plują nie tylko krwią, zębami, łzami, sikami, wszystkim — lecz i adresami! Dużo adresów! Nie mówiąc już o nazwiskach, kryptonimach, rysopisach... Przed chwilą zacząłem wygarniać aż dwa kółka różańcowe, i jak dobrze pójdzie, to jeszcze dzisiaj bandytyzm w Rudniku i pod Rudnikiem stanie się przeszłością.

— Więc nakręcił pan to wszystko tylko dlatego?... — spytał Tarłowski głosem człowieka, który wstępuje do grobu.

— Aż dlatego, panie hrabio — to ważny cel. No i dla zarobku — to też ważna sprawa. Pierwsza jest ważna dla Rzeszy, druga dla mnie. Obowiązek i przyjemność — trzeba umieć je łączyć! Zatem nie traćmy czasu, rozliczmy się szybko. Gdzie osiemdziesiąt tysięcy dolarów?

— Osiemdziesiąt tysięcy dolarów miał pan dostać za wypuszczenie czterech ludzi! Tymczasem wypuścił pan jedynie mojego syna! Czy mam rację?

— Ma pan rację połowicznie, panie hrabio. Uwolniłem pańskiego syna i dyrektora szpitala, tego Staso... Stasenki...

— Więc należy się panu czterdzieści tysięcy dolarów!

Müller przeszył hrabiego wzrokiem zimnym jak bagnet i wycedził:

— Wolałbym osiemdziesiąt!

Hrabia milczał długą chwilę, rozumiejąc, że nie trzeba się targować. Postanowił wytargować coś innego:

— Herr Müller... dam panu całe osiemdziesiąt... jeśli powie mi pan kto przy tym stole był zdrajcą. Kto był pańskim człowiekiem? Kto panu doniósł?

— Judasz, panie hrabio. On się zawsze nazywa Judasz.

— Gdy usłyszę jego nazwisko, dam panu całe osiemdziesiąt tysięcy.

— Bez tego również da mi pan osiemdziesiąt. To pozwoli mi zapomnieć, że urządził pan tej nocy konspiracyjne zebranie, na którym dwóch członków waszego podziemia nie tylko rozprawiało jak uwolnić dwóch swoich kumpli, lecz i namówiło do udziału w tym przedsięwzięciu całą zebraną tu grupę. Te dwie listy to dowód...



Wziął obie kartki, złożył i schował w górnej kieszeni munduru, rozpinając guzik.

— Jednak mogą być potrzebne... Ewentualnie, panie hrabio.

— Czym pan mnie straszy, panie Müller?! — prychnął Tarłowski. — Sądem za konspirowanie?... Konspirowałem całą noc jak człowiek wyzbyty rozumu i przyzwoitości, ale dlaczego? Dla pana! Po to, żeby pan mógł się obłowić przed czmychnięciem stąd do domu!

— Nie, panie hrabio. Robił pan to dla uratowania swej pociechy!... I niech pan mnie nie obraża nazywając czmychaniem ewakuację planową. Wyjadę nie tak szybko i bez paniki.

— Wyjeżdżacie planowo od Stalingradu do Bugu, aż się wam spod tyłków kopci smrodem przegranej! Wkrótce Sowietci staną w Berlinie i będzie „kaputt”.

— Może staną, a może nie staną. Tu, u was, staną na pewno, i wezmą was pod obcas i pod wycior tak chamsko, że zatęsknicie do „Szkopów”! ... Może nie od razu, ale przyjdzie czas, że Niemcy będą się wam wydawać rajem w porównaniu z tą Azją, panie Tarłowski! My możemy się nienawidzić, kłócić, krzywdzić, mordować, ale należymy do tego samego szczepu, gdy stamtąd pełnie barbarzyńska dzicz! Hunowie!... Tyle prorocstwa, wróćmy do interesów. Gdzie dolary?

Dzwonek zawołał Łukasza niosącego małą skórzaną torbę. Kamerdyner bez słowa położył ją przed gestapowcem i opuścił salon. Müller przykrył torebkę dłonią, a uśmiech opromienił jego twarz:

— Chyba nie muszę liczyć?... Między nami dżentelmenami...

— Nie musi pan.

— No cóż, panie hrabio, nie mogę panu zdradzić nazwiska, o które pan prosił, lecz — między nami dżentelmenami — wykonam pewien gest... Powiem panu, że w trzydziestym dziewiątym NKWD i Gestapo zawarły pakt. Własny pakt, równoległy do paktu rządowego między Moskwą a Berlinem. Ciekawe jest tutaj to, że kiedy kilka lat później Moskwa i Berlin zaczęły prowadzić wojnę przeciwko sobie — pakt ich służb specjalnych nie uległ całkowitemu zniszczeniu. Funkcjonuje do dzisiaj, taka osobliwość. Co prawda tylko w kwestiach dotyczących partyzantki polskiej, ale zawsze...

— Dziękuję, powiedział mi pan — rzekł Tarłowski.

— To raczej ja... ja winienem panu dziękować, panie hrabio. Bez pańskiej inicjatywy gościnnej ...





Usłyszeli grzmot wojskowych butów tłukących posadzkę przedsionka. Do sali wbiegł porucznik Wehrmachtu, stanął na baczność i wyrzucił rękę w pozdrowieniu hitlerowskim:

— Heil Hitler!

— Heil — burknął kapitan, machnąwszy dłonią prawie lekceważąco. — No i?...

Porucznik obrzucił spojrzeniem Tarłowskiego, a później skierował pytający wzrok do Müllera.

— Możecie mówić, poruczniku — zezwolił Müller.

— Panie kapitanie, przygotowaliśmy wszystkie wyjściowe sektory! Brigemann zaryglował rzekę i most. Łańcuch moździerzy skompletowano! Wszystko gotowe, możemy rozpoczynać!

Müller zerknął na swój czasomierz i na zegar ścienny.

— Jest szósta dwadzieścia sześć. Za cztery minuty rozpoczynajcie.

Porucznik trzasnął głośno obcasami, szczerknął służbiście: „— *Jawohl!*”, wyrzucił rękę do góry, szczerknął: „— *Sieg heil!*”, i ruszył biegiem ku motocyklowi wojskowemu. Müller wstał, obciągnął uniform i skierował się do drzwi. Przechodząc obok lustra zatrzymał się. Podniósł szminkę i otworzył ją. Później uniósł wzrok, przyjrzał się angielskiemu słownictwu, i niżej wykaligrafował jedno niemieckie słowo: „*Lippenstift!*”.

— Jeśli Rudnik oczekiwał, że każdy facet spełni swój obowiązek, to Rudnik się doczekał, panie hrabio. Właśnie zamknęliśmy kocioł wokół leśnej bandy, którą zlokalizował nam pan Trygier, i o wpół do siódmej zaczniemy likwidować ten kocioł. Mam nadzieję wypełnić swój obowiązek jeszcze przed śniadaniem... A przy okazji, panie hrabio: czemu napis jest po angielsku? Czy to dlatego, że w Londynie działa bandycki emigracyjny rząd?

— Judasz panu nie powiedział?! — spytał Tarłowski gniewnym tonem.

— Powiedział nam, że miał miejsce szminkowy dowcip tego filozofa—wariata, ale nie powiedział dlaczego angielski.

— To pastisz wezwania admirała Nelsona dla marynarzy, z bitwy pod Trafalgarem.

— Nelsona?... Trzeba było zacytować jakiegoś ciekawszego Anglika, panowie Polacy! Zważywszy sytuację dramaturgiczną — coś z Szekspira byłoby bardzo na miejscu, nie uważa pan?

— Panie Müller, cytaty są mi dzisiaj zupełnie obojętne...

— A propos — czy pan wie, że to Niemcy przywrócili Anglikom Szekspira, który w swej ojczyźnie był już zapomniany?



— Uhm! Tylko potem źle go tłumaczyliście na niemiecki, panie Müller.

— Jak to źle? O czym pan mówi, panie hrabio?

— O „**Kupcu weneckim**”, proszę pana. Przetłumaczyliście go na Treblinkę, Brzezinkę i Auschwitz.

— Znam „**Makbeta**” i „**Hamleta**”, panie hrabio, lecz „**Kupca weneckiego**” nie widziałem, chociaż mój brat to aktor we Frankfurcie i często ciągnął mnie do teatru. O co panu chodzi?

— O Żyda.

— Żyd jest bohaterem tej sztuki, panie hrabio?

— Tak.

— No proszę!... „**Kupiec wenecki**” — ładny tytuł. To naturalne, każda sztuka winna mieć odpowiedni tytuł. Dzisiejsza również, panie hrabio. Wie pan co po niemiecku znaczy „*Lippenstift*”!

— To samo co „*Schminke*”.

— Tak, chodzi o szminkę... Dałem tej akcji przeciwko leśnym bandytom kryptonim „*Szminka*”...

— Dlaczego?! — wykrztusił hrabia.

— Oooh, zdziwi się pan, panie hrabio, ale po kilku latach wymyślanie kryptonimów dla kolejnych operacji sprawia człowiekowi większą trudność niż same operacje... A tu mamy pańskie przywiązanie do nieboszczki małżonki, pańską gościnność spuentowaną tym napisem na lustrze pani hrabiny... no i fakt, że dzięki panu kilku bandytów zdjęło szminkę i ukazało swe prawdziwe oblicza... Dlatego pozwoliłem sobie zatytułować nasze wspólne dzieło, panie hrabio, terminem „*Lippenstift*”. Już widzę uśmieшки moich przełożonych, gdy dostaną raport o dzisiejszym wydarzeniu!...

Hrabia spuścił głowę na piersi i wyszeptał z trudem:

— Miał pan wczoraj słusność...

— Miałem wczoraj słusność po stokroć, więc nie wiem, o którą słusność panu chodzi...

— Gdy mówił pan o przesłuchaniach, Müller. Że są takie słowa...

— Tak, Herr Tarlowsky, są takie słowa... — przytaknął Müller ruszając ku wyjściu.

Kiedy kroki gestapowca i warkot samochodu rozplynęły się w ciszy — z daleka dobiegły hrabiego odgłosy eksplozji i kanonada. Prężniejące słońce zaczynało suszyć ziemię mokrą od burzliwych łez minionej nocy.



# AKT VIII



Wielka wydłużona sala obiadowa pałacu tętniła ciszą zatopionych koralowych grot. Okna i przeszklone drzwi tarasu ukazywały zielony świat po drugiej stronie. Napływał stamtąd szmer listowia i wesoły świergot ptaków. Słońce penetrowało wnętrze, wyblyszczając złotem coraz rozleglejszy obszar podłogi. W promieniach tego światła wirowały pyłki kurzu, niby gwiazdy frunące przez galaktykę kosmiczną. Pośrodku królował stół o kształcie starorzymskiego hipodromu dla rydwanów. Wokół — jak łańcuch suto mundurowanych wartowników — trwało dwanaście bliźniaczych krzeseł. U szczytu stołu od strony wejścia przewodził im wózek inwalidzki, także pusty. Ścienny zegar odmierzał milczenie, a wysokie lustro odbijało smutek w swej kryształowo czystej tafli. Na jego blacie widniała ujęta mosiężną ramką fotografia kobiety o wielkich czarnych źrenicach i o ustach, które zdawały się szeptać ku kasetonom stropu. Krzesła intonowały cichutko: *„Noc przeminęła, dzień zaś się przybliżył. Odrzućmy więc uczynki ciemności i obleczmy się w zbroję światła..”*. Usta kobiety podchwyciły tę melodię: *„Obleczcie się w zbroję bożą, abyście się mogli ostać wobec zasadzek diabelskich. Albowiem toczymy bój nie przeciwko ciału i krwi, ale przeciwko książętom świata ciemności, przeciwko duchom nikczemnym...”*. Wreszcie razem — ona i oni — zanucili: *„nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego. Amen!”*<sup>\*</sup>

\* Tłumaczenie Jakub Wójek



## Spis Treści

|                          |     |
|--------------------------|-----|
| <b>Obsada:</b> .....     | 3   |
| <b>Akt I</b> .....       | 6   |
| <b>Akt II</b> .....      | 21  |
| <b>Akt III</b> .....     | 32  |
| <b>Akt IV</b> .....      | 61  |
| <b>Akt V</b> .....       | 86  |
| <b>Akt VI</b> .....      | 112 |
| <b>Akt VII</b> .....     | 117 |
| <b>Akt VIII</b> .....    | 123 |
| <b>Spis Treści</b> ..... | 125 |